

TRACEY GARVIS GRAVES

**DZIEWCZYNA,
KTÓRĄ ZNAŁ**

Tytuł oryginału
The Girl He Used to Know
Copyright © 2019 by Tracey Garvis Graves
All rights reserved
Wydawnictwo NieZwykłe
Oświęcim 2019
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja:
Barbara Marszałek
Korekta:
Patrycja Piasecka
Magdalena Zięba-Stępnik
Redakcja techniczna:
Mateusz Bartel
Projekt okładki:
Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Dystrybucja: ATENEUM www.ateneum.net.pl

Numer ISBN: 978-83-7889-985-3

TRACEY GARVIS GRAVES

**DZIEWCZYNA,
KTÓRĄ ZNAŁ**

**TŁUMACZENIE
PIOTR RAGANOWICZ
PAULINA RAGANOWICZ**

OŚWIĘCIM 2019

Każdemu, kto kiedykolwiek czuł,
że nie pasuje do tego świata.

I Lauren Patrici Graves,
która jest światełkiem w moim życiu.

1

Annika

CHICAGO
Sierpień 2001

Ze wszystkich miejsc, w których mogłam na niego wpaść, los wybrał właśnie Dominick's. Kręcę się przy lodówkach, szukając truskawek do porannego smoothie, gdy nagle gdzieś po mojej prawej stronie słyszę niepewnie brzmiący męski głos.

– Annika?

Kątem oka dostrzegam wyraz jego twarzy. Chociaż minęło dziesięć lat, od kiedy widzieliśmy się po raz ostatni, a ja często nie rozpoznaję ludzi, gdy się ich nie spodziewam, tym razem nie mam wątpliwości. Wiem, że to jest on. Czuję nadchodzące drżenie, jakby ciche dudnienie odległego pociągu, i jestem wdzięczna za zimny powiew od strony lodówek, jako że temperatura mojego ciała nagle podskoczyła. Mam ochotę zapomnieć o truskawkach i skierować się prosto do wyjścia. Wciąż jednak w mojej głowie niczym mantra pobrzmiwają słowa Tiny: „Nie uciekaj od odpowiedzialności. Bądź sobą”.

Biorę nierówny oddech, który ledwie dociera do moich płuc, po czym odwracam się w jego stronę.

– Cześć, Jonathan.

– To naprawdę ty – mówi.

Uśmiecham się.

– Tak.

Moje włosy, niegdyś długie do pasa i zazwyczaj „wołające szczytkę”, teraz proste i lśniące, ledwie sięgają mi do ramion. Dopasowana bluzka oraz obcisłe spodnie, które mam na sobie, bardzo różnią się od mojej garderoby z czasów college’u, składającej się głównie z sukienek oraz spódnic o dwa numery za dużych. To ta odmiana prawdopodobnie tak go uderzyła.

On natomiast, mimo swoich trzydziestu dwóch lat, wciąż wygląda dla mnie tak samo: ciemne włosy, niebieskie oczy, szerokie ramiona pływaka. Nie uśmiecha się, lecz jego brwi nie są zmarszczone. Chociaż znacznie poprawiłam swoją umiejętność odczytywania ludzkich emocji i innych niewerbalnych znaków, nie potrafię stwierdzić, czy jest zły albo czy czuje się zraniony. Ma prawo i do jednego, i do drugiego.

Postępujemy krok do przodu, by się uściskać, ponieważ nawet ja zdaję sobie sprawę z tego, że po tak długim czasie – i po tym wszystkim, co razem przeszliśmy – po prostu tak wypada. Gdy tylko mnie obejmuje, nagle czuję się bezpieczna. Pod tym względem nic się nie zmieniło. Zapach chloru, który kiedyś na stałe przylegał do jego skóry, zniknął zastąpiony aromatem lasu, na szczęście nie tak ciężkim ani mdlącym.

Nie mam pojęcia, dlaczego przyjechał do Chicago. Prestiżowa firma z Nowego Jorku świadcząca usługi finansowe zgarnęła Jonathana z Illinois, zanim jeszcze atrament zdążył wyschnąć na jego dyplomie, gdy to, co kiedyś było planami dla dwojga, zmieniło się w karierę solową.

Odsuwamy się od siebie.

– Byłam pewna, że mieszkasz... Jesteś tu w sprawach biznesowych? – Potykam się o własne słowa.

– Już ponad pięć lat temu przenieśliśmy się do biura w Chicago – mówi.

To niesamowite, że przez cały ten czas, kiedy poruszałam się po mieście, które teraz nazywam domem, nigdy nie przypuszczałam, że moglibyśmy na siebie wpaść, że w ogóle istnieje taka możliwość. Ile razy byliśmy oddaleni od siebie zaledwie o mile, w ogóle nie zdając sobie z tego sprawy? Jak często był tuż za mną lub przede mną na zatłoczonym chodniku? A może jedliśmy kiedyś w tej samej restauracji?

– Moja mama potrzebowała kogoś, kto będzie nadzorował jej opiekę – wyjaśnia.

Jego mamę spotkałam co prawda tylko raz, ale to wystarczyło, bym polubiła ją jak własną. Miło było zobaczyć, po kim Jonathan odziedziczył dobroć.

– Pozdrów ją ode mnie.

– Zmarła kilka lat temu. Demencja. Lekarz mówił, że prawdopodobnie cierpiała na nią już od dawna.

– Nazywała mnie Katherine i zawsze gubiła gdzieś klucze – mówię, ponieważ doskonale to pamiętam. Teraz jej zachowanie nabiera sensu.

Reaguje krótkim skinieniem głowy.

– Pracujesz w śródmieściu? – pyta.

Zamykam drzwi lodówki, trochę zażenowana tym, że zostawiłam je otwarte przez cały ten czas.

– Tak, w bibliotece imienia Harolda Waszyngtona.

Na jego twarzy po raz pierwszy gości uśmiech.

– Całkiem nieźle.

Panuje niezręczne milczenie. Jonathan zawsze brał na siebie prowadzenie rozmowy, ale tym razem mi nie odpuszcza. Cisza staje się ogłuszająca.

– Miło było cię spotkać – wypalam. Mój głos wydaje się bardziej piskliwy niż zazwyczaj. Czuję ciepło na twarzy i żałuję, że jednak nie zostawiłam otwartych drzwi lodówki.

– Ciebie również.

Kiedy odwraca się, by odejść, uczucie tęsknoty uderza we mnie tak mocno, że uginają się pode mną kolana. Zbieram się na odwagę.

– Jonathan?

Kiedy odwraca się w moją stronę, dostrzegam lekko uniesione brwi.

– Tak?

– Miałbyś ochotę czasem gdzieś wyskoczyć? – Czuję napięcie, gdy powracają wspomnienia. Mówię sobie, że to niesprawiedliwe w stosunku do niego, już dość zrobiłam.

Waha się przez chwilę.

– Jasne, Anniko. – Wyciąga długopis z wewnętrznej kieszeni płaszcza, a następnie sięga po kartkę z listą zakupów, którą trzymam w ręku. Na tylnej stronie zapisuje numer telefonu.

– Niedługo zadzwonię – obiecuję.

Kiwa głową z obojętnym wyrazem twarzy. Prawdopodobnie myśli, że tego nie zrobię. Nie winię go za to.

Ale zadzwonię. I przeproszę. Zapytam, czy moglibyśmy zacząć od nowa. *Czyste konto*, tak mu powiem.

Pragnę zastąpić jego wspomnienia o dziewczynie, którą znał, całkiem nowymi – o kobiecie, którą się stałam.

2

Annika

CHICAGO Sierpień 2001

Podczas mojej pierwszej sesji terapeutycznej z Tiną, pięć minut zajęło mi przyzwyczajanie oczu do panującego w pokoju półmroku. Kiedy w końcu udało mi się zobaczyć wszystko wyraźnie, zdałam sobie sprawę, że efekt ten był zamierzony, a wszystko w pomieszczeniu zostało ustawione w taki sposób, aby oddziaływało uspokajająco. Jedy-
nym źródłem światła była lampa z kremowym abażurem stojąca w rogu, która rzucała na ścianę cienie. Meble pokryte brązową skórą były miękkie jak masło pod opuszkami palców, a pokrywający podłogę gruby dywan zachęcał do zrzucenia butów, by rozkoszować się dotykiem jego miękkich, puszystych włókien.

– Spotkałam Jonathana – mówię Tinie na mojej cotygodniowej wizycie, zanim jeszcze zdąży zamknąć drzwi. Siada na fotelu, a ja osuwam się na kanapie. Jej poduszki otulają mnie, jak zawsze łagodząc mój niepokój związany z byciem tutaj.

– Kiedy?

– W ostatni wtorek. Gdy wracałam z pracy, wstąpiłam do Dominick’s. I on tam był.

Spędziłyśmy wiele godzin, rozmawiając o Jonathanie. Na pewno jest ciekawa tego, co jej powiem, jednak wyraz jej twarzy jak zawsze pozostaje dla mnie zagadką.

– Jak było?

– Przypomniałam sobie, jak mówiłaś, co powinnam zrobić, jeśli kiedykolwiek go spotkam. – Rozpogadzam się, siadając trochę wyżej, mimo że kanapa usilnie próbuje mnie pochłonać. – Przeprowadziliśmy rozmowę. Była krótka, ale przyjemna.

– Jeszcze kilka lat temu nie zdobyłabyś się na to.

– Jeszcze kilka lat temu uciekłabym tylnym wyjściem i zaszyła się na dwa dni w łóżku. – Gdy w końcu wróciłam do domu, czułam się wyczerpana. Pomimo tego, że chciałam zapomnieć o żalu, który czułam z powodu śmierci matki Jonathanana, rozplakałam się jak bóbr, ponieważ on teraz nie ma już żadnego rodzica. Nie pomyślałam nawet o tym, by powiedzieć mu, jak bardzo jest mi przykro. Mimo zmęczenia tej nocy długo nie mogłam zasnąć.

– Myślałam, że jest w Nowym Jorku.

– Był, ale przeniósł się tutaj, by opiekować się swoją mamą, zanim zmarła. Tak naprawdę to wszystko, co wiem.

Pojawienie się Jonathanana było tak niespodziewane, tak nieprawdopodobne, że nie zdążyłam zadać mu wielu pytań, które dopiero później przysły mi do głowy. Z opóźnieniem zrozumiałam, że nie wiem nawet, czy on jest żonaty. Zwyczajne opuszczenie wzroku na palec serdeczny w poszukiwaniu obrączki jest tego rodzaju rozwiązaniem, na które zawsze wpadam po fakcie. W przypadku Jonathanana – dwa pełne dni później.

– Jak sądzisz, co działo się w głowie Jonathanana wtedy, gdy zobaczył cię w tamtym sklepie?

Tina doskonale zdaje sobie sprawę z tego, jak ciężko mi zrozumieć, co czują inni ludzie, więc jej pytanie nie jest dla mnie zaskoczeniem. Przez te dziesięć lat, kiedy ostatnio widziałam Jonathana, wielokrotnie wspominałam ostatnie tygodnie naszego związku, odtwarzając w głowie ostatnią wiadomość, jaką mi zostawił. Tina pomogła mi spojrzeć na te wydarzenia oczami Jonathana i to, co sobie wówczas uświadomiłam, sprawiło, że poczułam wstyd.

– Nie wydawał się zły ani zraniony – mówię, wiedząc, że nie jest to odpowiedź na jej pytanie. Tina dokładnie zna obraz sytuacji, więc równie dobrze to ona mogłaby mi powiedzieć, co czuł Jonathan. Ona po prostu chce usłyszeć moje zdanie. W naszych sesjach najbardziej cenię to, że swobodnie decyduję o przebiegu rozmowy, więc Tina nie będzie naciskać. W każdym razie nie za bardzo.

– A jaki się wydawał?

– Chyba obojętny. Uśmiechnął się, gdy wspomniałam o bibliotece. Już zaczynał odchodzić, gdy zapytałam go, czy nie chciałby gdzieś czasem wyskoczyć. Dał mi swój numer.

– Zrobiłaś naprawdę duże postępy, Anniko. Powinnaś być z siebie dumna.

– Chyba nie wierzy, że do niego zadzwonię.

– A zadzwonisz?

Choć czuję niepokój, gdy wyobrażam sobie ścieżkę, którą zamierzam podążać, odpowiadam stanowczo:

– Tak.

Przyglądam się wyrazowi jej twarzy i choć nie mogę być całkowicie pewna, to wydaje mi się, że dostrzegam zadowolenie.

3

Annika

UNIwersytet ILLINOIS URBANA-CHAMPAIGN 1991

Gdy mnie ktoś szukał w college'u, wystarczyło sprawdzić tylko w trzech miejscach: w klinice weterynaryjnej, w bibliotece albo w budynku związku studenckiego, gdzie odbywały się spotkania mojego klubu szachowego.

Patrząc na to, ile czasu spędzałam, pomagając w klinice, niejedna osoba mogłaby pomyśleć, że w przyszłości chcę zostać weterynarzem. Zwierzęta sprawiały, że czułam się szczęśliwa, szczególnie te, które wymagały mojej uwagi. Niektórzy wolontariusze mogliby uznać, że zwierzęta stanowiły ucieczkę od samotności i izolacji, które towarzyszyły mi podczas studiów, ale niewielu rozumiało, że ja po prostu bardziej ceniłam sobie towarzystwo zwierząt niż ludzi. Spojrzenie ich oczu, gdy nauczyły się mi ufać, dodawało mi sił bardziej niż jakakolwiek relacja społeczna.

Jeśli istniało na świecie coś, co kochałam tak bardzo jak zwierzęta, były to książki. Czytanie pozwalało mi przenosić się w egzotyczne miejsca, do zamierzchłych czasów albo światów diametralnie różnych od naszego. Pewnego śnieżnego grudniowego popołudnia, kiedy miałam osiem lat, moja mama, oszalała ze zmartwienia, znalazła mnie

w domku na drzewie pochłaniającą moją ulubioną książką Laury Ingalls Wilder, tę, w której tatę dopadła zamieć śnieżna i zjadł świąteczne cukierki, które miał dla Laury i Mary. Mama szukała mnie przez ponad pół godziny, wołając po imieniu tak długo, aż straciła głos. I chociaż jej tłumaczyłam, nie rozumiała, że ja po prostu byłam Laurą czekającą w domu. Pójście do zimnej chatki na drzewie wydawało mi się świetnym pomysłem. Później, kiedy odkryłam, że mogę rozwijać swoją karierę w takim kierunku, by móc spędzać całe dni w bibliotece, ogarnęła mnie niewypowiedziana radość.

Zanim tata nauczył mnie grać w szachy, gdy miałam siedem lat, trudno było wymienić coś, w czym byłam dobra. Nie uprawiałam żadnego sportu i jak przystało na przeciętnego ucznia zgarniałam zarówno najwyższe, jak i najniższe oceny, w zależności od zajęć i tego, jak bardzo mnie interesowały. Wrodzona nieśmiałość uniemożliwiała mi udział w zabawach szkolnych lub innych zajęciach pozalekcyjnych. Ale podobnie jak książki, szachy wypełniały pustkę w moim życiu. Chociaż zajęło mi to nieco czasu, w końcu zrozumiałam, że mój mózg nie działa tak, jak u innych ludzi. Myślę w czerni i bieli. Konkrety, nie abstrakcja. Szachy wymagały strategii i miały swoje reguły, co pasowało do mojego światopoglądu. Zwierzęta oraz książki podtrzymywały mnie na duchu, ale szachy dawały mi szansę bycia częścią czegoś.

Kiedy grałam, czułam, że zaczynam gdzieś pasować.

Członkowie klubu szachowego Illini od osiemnastej do dwudziestej spotykali się na stołówce w budynku związ-

ku studenckiego. Liczba uczestników była bardzo zróżnicowana. Na początku semestru, kiedy członkowie nie byli jeszcze obciążeni natłokiem zajęć, frekwencja mogła wynosić nawet trzydziestu studentów. Na czas finałów będziemy mieli szczęście, mając dziesięć osób. Niedzielne spotkania klubu szachowego były dość luźne i opierały się głównie na swobodnej grze oraz pogaduchach. Spotkania drużyny szachowej – dla członków, którzy chcieli rywalizować z innymi graczami – odbywały się w środowe wieczory i skupiały się na szkoleniu we współzawodnictwie, rozwiązywaniu puzzli szachowych czy analizowaniu znanych partii. Mimo że posiadałam niezbędne umiejętności i wolałam formalną strukturę spotkań drużyny szachowej, nie miałam ochoty brać udziału w zawodach.

Jonathan dołączył do nas w niedzielny wieczór w drugim tygodniu moich zajęć na drugim roku. Podczas gdy reszta członków podzieliła się na grupki i zaczęła rozmawiać, ja wierciłam się na swoim miejscu z rozstawioną planszą, gotowa do gry. Zrzuciłam buty i nacisnęłam bosymi stopami na zimną podłogę, ponieważ tak *dobrze* się z tym czułam w sposób, jakiego nie potrafiłam nikomu wytłumaczyć, nieważne jak bardzo próbowałam. Przyglądałam się, jak Jonathan podchodzi do Erica, przewodniczącego klubu, który uśmiechnął się, uściskawszy mu dłoń. Kilka minut później Eric poprosił o uwagę, podnosząc głos z powodu panującego hałasu.

– Witam wszystkich. Nowych członków proszę, aby się przedstawili. Dla zainteresowanych, po spotkaniu zapraszam na pizzę w Uno. – Eric odwrócił się do Jonathana i wskazał na mnie. Ten gest nappełnił mnie grozą. Znieruchomiałam.

Niemal zawsze grałam z Erikiem z dwóch powodów: po pierwsze, oboje dołączyliśmy do klubu tego samego dnia na swoim pierwszym roku i jako że byliśmy najnowszymi członkami, wydawało się to sensowne, abyśmy rozegrali razem pierwszą partię. Po drugie, nikt poza nim nie chciał ze mną grać. Jeżeli szybko kończyliśmy naszą partyjkę, to zaczynał grę z kimś innym, a ja szłam do domu. Lubiłam z nim grać. Był miły, ale nie powstrzymywało go to przed daniem z siebie wszystkiego w trakcie rozgrywki. Jeżeli go pokonałam, to wiedziałam, że nie dawał mi forów. Teraz, gdy został przewodniczącym, musiał odpowiadać na pytania i sprawować inne funkcje administracyjne, więc nie zawsze mógł ze mną zagrać.

Kiedy podszedł do mnie Jonathan, żołądek mi się skurczył i starałam się uspokoić, potrząsając rękami pod stołem, tak jakbym chciała pozbyć się czegoś nieprzyjemnego z koniuszków palców. Kiedy byłam dzieckiem, w takich sytuacjach zaczęłabym kołysać się i nucić, ale gdy podrosłam, nauczyłam się ukrywać moje metody na uspokojenie. Kiedy usiadł naprzeciwko, skinęłam na przywitanie.

– Eric uznał, że możemy dzisiaj zagrać razem. Nazywam się Jonathan Hoffman.

Miał kwadratową szczękę i niebieskie oczy. Jego krótkie, czarne włosy lśniły. Zastanawiałam się, czy gdybym ich dotknęła, to okazałyby się miękkie i jedwabiste. Pachniał trochę chlorem, lecz mimo że nie cierpiałam większości zapachów, ten z jakiegoś powodu mi nie przeszkadzał.

– Annika Rose – powiedziałam, a mój głos był minimalnie głośniejszy od szeptu.

– Monica?

Pokręciłam głową.

– Annika.

Zamieszanie wokół mojego imienia towarzyszyło mi przez całe życie. W siódmej klasie pewna szczególnie wredna dziewczyna o imieniu Maria wepchnęła moją głowę do szafki i syknęła: „Dziwaczne imię dla dziwacznej dziewczyny”, wysyłając mnie ze łzami w oczach do gabinetu pielęgniarki.

– Annika – powtórzył Jonathan, tak jakby sprawdzał, czy dobrze je wymawia. – Fajne. Zagrajmy.

Eric i ja co turę zamienialiśmy się białymi pionkami, ciesząc się wynikającą z tego niewielką przewagą. Gdybyśmy grali razem, to przypadałaby jego kolej. Pionki po jego stronie były białe. Z powodu niespodziewanego sparowania z Jonathanem, to on zaczynał.

Jego sekwencja rozpoczynająca naśladowała ruchy mistrza świata Anatolija Karpowa. Kiedy rozszyfrowałam jego strategię, wybrałam odpowiednią obronę, po czym pograżyłam się w rozgrywkę, a różne dźwięki i zapachy jedzenia zniknęły wraz z niepokojem. Nie słyszałam już urywków rozmów studentów, gdy jedli swoje burgery z frytkami, ani skwierczenia woka ze świeżą porcją smażonego ryżu z kurczakiem. Nie czułam też zapachu gorącej pizzy pepperoni z pieca. Od początku grałam bezlitośnie, ponieważ celem każdej rozpoczętej partii było zwycięstwo. Poświęcałam czas, koncentrując się na następnym ruchu. Ani ja, ani Jonathan nie powiedzieliśmy ani słowa.

Gra w szachy w dużej mierze przebiega w ciszy. Moim zdaniem brak dźwięku ma w sobie prawdziwe piękno.

– Szach-mat – oznajmiłam.

– Dobrze grasz – powiedział po dłuższej chwili. Rozejrzał się wokół, ale pozostało tylko kilku członków klubu. Kiedy byliśmy zaaferowani rozgrywką, reszta gdzieś poszła.

– Ty też – oświadczyłam, gdyż to zwycięstwo było tak trudne jak każde, które osiągnęłam, grając z Erikiem.

– Idziesz na pizzę i piwo?

Wstałam, chwytając swój plecak.

– Nie. Wracam do domu.

Kiedy otworzyłam drzwi do mieszkania w kampusie, w którym od prawie dwóch lat żyłyśmy z Janice, przywitał mnie zapach drzewa sandałowego oraz Lysolu¹. Kadzidełko miało zamaskować zapach gandzi, który na zawsze przylgnął do ubrań jej chłopaka, Joe. Janice nigdy nie pozwoliłaby mu ćpać w mieszkaniu i nie potrafiła sama wyczuć na nim tego zapachu, jednak ja miałam bardzo wrażliwy nos, przez co wiedziałam o tym od momentu, gdy nas sobie przedstawiła.

Lysol miał maskować zapach tego, co Jan ugotowała dla Joego. Uwielbiała eksperymentować z przepisami i spędzała w kuchni całe godziny. Jej podniebienie podążało raczej w stronę smakoszy, podczas gdy moje zatrzymało się na poziomie zbliżonym do zwyczajów żywieniowych sześciolatki. Nieraz widziałam, jak Joe wpatruje się w grillowany ser albo nuggetsy na moim talerzu, kiedy Janice przygotowywała coś skomplikowanego. Doceniałam jej starania, by zniwelować zapachy w naszym mieszkaniu do minimum, jednak nie miałam serca powiedzieć jej, że w ten sposób dodaje tylko odświeżacz i kadzidełko do tej mieszanki. Nigdy bym jej tego nie zrobiła, ponieważ i tak życie ze mną nie było łatwe.

– Jak było w klubie szachowym? – spytała Janice, gdy weszłam do środka, rzuciłam plecak na podłogę, po czym opadłam na kanapę.

¹ Lysol – amerykańska marka produktów czyszczących i dezynfekujących (przyp. red.).

– Strasznie. Mamy nowego członka i musiałam z nim zagrać.

– Był przystojny?

– Jestem bardzo zmęczona.

Usiadła obok mnie.

– Jak ma na imię?

– Jonathan. – Ściągnęłam buty. – Jestem taka wściekła na Erica. Wie, że zawsze gramy razem.

– Kto wygrał?

– Co? Ach. Ja.

Janice się roześmiała.

– Jak to się skończyło?

– Tak samo jak zawsze.

– Chcesz, bym ci przygotowała grillowany ser? Wcześniej przygotowałam kawałek dla Joego. W zamrażarce mam wszystko, by przygotować kurczaka po florencku, ale wolał to. I ty mówisz, że nie macie ze sobą nic wspólnego.

– Nie wziął mnie na poważnie – oznajmiłam.

Jonathan popełnił typowy dla nowych członków błąd: nie docenił moich umiejętności i był zbyt pewny swoich. Wkrótce nauczy się, że to pierwszy i ostatni raz, kiedy mnie tak zbagatelizował.

– Nie martw się, w następną niedzielę zagrasz z Erikiem.

– Jestem zbyt zmęczona, by jeść.

„Nie mam pojęcia, o czym wy dwie rozmawiacie”, powiedział kiedyś Joe, gdy po raz pierwszy był świadkiem naszej konwersacji. Szczerze mówiąc, to chyba nie tylko kwestia tego, że był na hajku. Janice miała dwa lata, aby nauczyć się, jak ze mną rozmawiać i muszę przyznać, że po mistrzowsku opanowała mój język. Nie mogąc dłużej znieść dalszej rozmowy, poczłapałam korytarzem do swojej sypialni, padłam twarzą na łóżko i spałam tak w ubraniach do rana.

4

Jonathan

CHICAGO
Sierpień 2001

Gdy idę do baru zobaczyć się z Nate'em, dzwoni mój telefon, a na ekranie wyświetla się nieznany numer. Przez cały dzień miałem spotkania i jedyne, co mnie teraz interesuje, to kufel zimnego piwa. Sierpień w Chicago bywa bezlitosny i czuję, jak koszula klei mi się do pleców. Kiedy słyszę dźwięk informujący, że ktoś dzwonił albo zostawił wiadomość głosową, uznaję, że równie dobrze mogę zająć się tym teraz, by móc później w spokoju cieszyć się piwkiem.

Na dźwięk głosu Anni staję jak wryty. Szansa na to, że zadzwoni wydawała mi się tak niewielka jak to, że jeszcze kiedyś spotkam się oko w oko z byłą żoną. Czyli właściwie bliska zeru. Ruszam, na powrót wtapiając się w rzekę przechodniów. W jednej ręce trzymam telefon, a drugą przyciskam do ucha, by lepiej słyszeć jej głos. Przewijam wiadomość do początku.

Hej, zastanawiałam się, czy może miałbyś ochotę skoczyć razem na śniadanie w Bridgeport Coffee w sobotę albo niedzielę? Jaka godzina by ci pasowała? Okej, cześć.

W jej głosie słyszę drzenie.

Jest też kolejna wiadomość.

Cześć, tu Annika. Zapomniałam się przedstawić w poprzedniej wiadomości.

Wciąż słychać drżenie, tym razem podszyte lekkim zakłopotaniem.

I jeszcze jedna.

Przepraszam za te wszystkie wiadomości, ale właśnie zdałam sobie sprawę z tego, że ty nie masz mojego numeru.

Wydaje się sfrustrowana, gdy zaczyna recytować cyfry, zupełnie zresztą niepotrzebnie, ponieważ jej numer wyświetla mi się teraz na liście połączeń.

Więc zadzwoń do mnie, jeśli będziesz miał ochotę wyskoczyć na kawę. Okej, na razie.

Wyobrażam sobie, jak po wysłaniu ostatniej wiadomości opada wyczerpana na krzesło. Wiem, że te sprawy zawsze były dla niej trudne.

To, że jednak zdobyła się na ten krok, daje mi do myślenia.

Skąpany w mdłym świetle bar pachnie dymem papierosowym i wodą kolońską. To miejsce przyciąga głównie świeżo osamotnionych mężczyzn, którzy przychodzą tu odpocząć przed powrotem do pustych mieszkań. Nie znoszę tego typu miejsc, ale Nate wciąż przechodzi fazę picia po tym, jak niedawno rozstał się z żoną, a ja aż zbyt dobrze pamiętam, jakie to uczucie. Gdy wchodzę do środka, widzę, jak siedzi za barem i zdiera etykietę z butelki piwa.

– Hej – mówię, siadając obok niego. Rozluźniam krawat i gestem daję znać barmanowi, że dla mnie to samo.

Nate wskazuje na okno z ustami przy szyjce butelki.

– Widziałem cię. Lepiej wyłącz telefon, jeśli chcesz wypić to piwo w spokoju – mówi.

Nate i ja nie pracujemy dla tej samej firmy, ale nasi szefowie mają takie samo motto: *Nie zabawa, lecz praca szczerza, robią z firmy milionera.*

– Dostałem wiadomość głosową od byłej. Kilka dni temu wpadliśmy na siebie. Mówiła, że zadzwoni, ale nie sądziłem, że to zrobi.

– Kiedy z nią byłeś?

– Gdy po raz ostatni ją widziałem, miałem dwadzieścia dwa lata. – A gdybym wiedział, że nie zobaczę jej przez następne dziesięć lat, inaczej bym sobie z tym poradził.

– Jak teraz wygląda?

Barman podaje mi piwo. Pociągam solidny łyk.

– Czas okazał się dla niej łaskawy – mówię, odstawiając butelkę na stół.

– To było coś poważnego czy tylko przygodny romans?

– Dla mnie coś poważnego. – Powtarzam sobie, że ona miała podobne podejście, ale są dni, kiedy zastanawiam się, czy nie okłamuję samego siebie.

– Myślisz, że ona chce do ciebie wrócić?

– Nie mam pojęcia. – To akurat jest prawdą. Nawet nie wiem, czy Annika wciąż jest singielką. Mężatką raczej nie, bo nie dostrzegłem na jej palcu obrączki, ale to nie znaczy, że nie jest z kimś w związku.

– Wciąż ci na niej zależy?

Co jakiś czas, szczególnie tuż po rozstaniu z Liz, kiedy leżałem sam w łóżku, nie mogąc spać, rozmyślałem o An-nice.

– To było tak dawno temu.

– Znam typa, który nigdy nie doszedł do siebie po tym, jak w ósmej klasie dostał kosza od dziewczyny.

– Chyba nie tylko on jeden tak ma. – Chociaż minęło dużo czasu, są dni, gdy mam wrażenie, że rozmawialiśmy zaledwie wczoraj. Ledwie przypominam sobie imiona dziewczyn, z którymi umawiałem się wcześniej, a później była tylko Liz. Pamiętam natomiast każdy detal z czasów, kiedy spotykałem się z Anniką.

Prawdopodobnie dlatego, że jeszcze nikt nigdy nie kochał mnie tak bezwzględnie i bezwarunkowo jak ona.

Podnoszę wzrok na Nate'a.

– Czy zakochałeś się kiedyś w wyjątkowej dziewczynie? Takiej, która nie tylko różniła się od kobiet, z którymi do tychczas się umawiałeś, ale była też inna od reszty ludzi?

Nate zamawia u barmana kolejne piwo.

– Chodziła własnymi ścieżkami, co?

– Zbaczała ze ścieżek i szła na przełaj przez miejsca, których nigdy nie widziałeś, o których nigdy byś nie pomyślał, że mogą ci się spodobać.

Gdy Annika zaczęła mnie denerwować, co zdarzało się dość często, mówiłem sobie, że świat jest pełen dziewcząt o mniej wymagającym charakterze, ale dwadzieścia cztery godziny później pukałem już do jej drzwi. Brakowało mi widoku jej twarzy oraz uśmiechu. Tęskniłem za każdą cechą, która czyniła ją wyjątkową.

– Musiała być seksowna, bo takie rzeczy raczej nie przechodzą, jeśli dziewczyna jest przeciętna.

Kiedy samolot Johna Kennedy'ego Juniora rozbił się na Atlantyku – kilka miesięcy przed tym, jak Liz dała za wygraną i sama wróciła do Nowego Jorku – jego zdjęcie wraz z żoną i szwagierką nie zniknęło z ekranów telewizorów przez kilka następných dni. Jako że nie interesowałem się wiadomościami ze świata polityki czy celebrytów, dopiero wtedy zauważyłem niezwykle podobieństwo An-

niki do Carolyn Bessette Kennedy. Miały tę samą sylwetkę, błękitne oczy i włosy tak jasne, że niemal białe. Uroda ich obu wyróżniała je spośród tłumu. Kiedy w Dominick's wpadłem na Annikę, jeszcze bardziej uderzyło mnie to podobieństwo. Miała krótsze włosy niż w czasach college'u, proste i lśniące, ale na ustach dostrzegłem znajomy kolor szminki. Gdy tylko mój mózg zarejestrował ten fakt, pewne konkretne wspomnienie roztopiło nieco lód w moim sercu.

– Annika jest piękna.

– Więc to, że jest stuknięta, nie ma znaczenia.

– To nie jest to, o czym mówiłem. – Moje słowa brzmią bardziej szorstko, niż zamierzałem. Zapada kłopotliwe milczenie, gdy w ciszy pociągamy kolejne łyki piwa.

Skłamałbym, gdybym nie przyznał się przynajmniej przed samym sobą, że wygląd Anniki *miał* wpływ na to, że mnie pociągała oraz na to, że niektóre rzeczy łatwiej mi było puścić w niepamięć.

Gdy tamtego dnia w budynku związku studenckiego Eric wskazał mi właśnie ją, nie mogłem uwierzyć we własne szczęście, chociaż zastanawiałem się jednocześnie, dlaczego taka atrakcyjna panna siedzi tu zupełnie sama. O wiele łatwiej byłoby, gdybym ją odrzucił tak samo jak inni i następnym razem znalazł sobie nowego partnera do gry. Ale odnajdywałem tę dziewczynę raz za razem, ponieważ czułem się przytłoczony tarapatami, w jakie wpadłem w Northwestern. Byłem zgorzkniały od ciężaru, który od tego czasu przyszło mi dźwigać. Czułem się wówczas bardzo niepewnie, a przegrana z dziewczyną wcale mi w tym nie pomogła. Wzdrygnąłem się na to wspomnienie. Dopiero teraz, po dziesięciu latach zrozumiałem, ile czasu oraz energii zmarnowałem w nieistotnych zmaganiach, które okazały się zupełnie niepotrzebne. Annika jeszcze wtedy

nie miała pojęcia, że jest właśnie tym, kogo potrzebowałem, by znów uwierzyć w siebie. Ja zaś w porę zorientowałem się, że reprezentuje sobą coś więcej niż tylko ładną buzię.

– Zamierzasz się z nią spotkać? – pyta Nate.

Za każdym razem, gdy myślę o Annice, mój umysł powraca do tego, jak wszystko zakończyła i do powtarzającego się pytania bez odpowiedzi. To było dla mnie niczym kamień w bucie – niewygodne, ale do zniesienia.

Ale mimo wszystko wciąż nie zniknęło.

Biorę kolejny łyk piwa, wzruszając ramionami.

– Jeszcze nie wiem.

Gdy wracam do domu, nalewam sobie whiskey i stoję przed oknem panoramicznym, by obserwować zachodzące za horyzontem słońce. Po wypiciu szklanki alkoholu jeszcze raz odsłuchuję wiadomości od Anniki. Jestem pijany i brakuje mi jej głosu. To, że jeszcze do niej nie oddzwoniłem, wydaje mi się dziecinne oraz małostkowe, a może po prostu żal mi samego siebie, bo jedyne dwie kobiety, które w życiu kochałem, zdecydowały się mnie porzucić. Gdy Liz wystąpiła o rozwód, to uczucie już obumarło, ale z Anniką sprawa wyglądała zupełnie inaczej.

Sięgam po telefon i oddzwoniam. Włącza się poczta głosowa. Nagrywam się.

– Hej, tu Jonathan. Możemy spotkać się na kawę w niedzielę o dziesiątej. Co ty na to? Do zobaczenia.

Może Annika dzwoniła, ponieważ jest gotowa raz na zawsze usunąć ten kamień z mojego buta? Poza tym chcę wiedzieć – pomimo tego, co czuję odnośnie sposobu,

w jaki zakończył się nasz związek – czy wszystko u niej w porządku. Z tego co widziałem, wydaje się nieźle trzymać, przynajmniej z zewnątrz. Muszę jednak wiedzieć, czy wciąż dźwiga w środku ten ciężar.

Poza tym nigdy nie powiedziałem jej „nie”.

Nie potrafiłem.

5

Jonathan

CHICAGO
Sierpień 2001

Kiedy jestem już w pobliżu kawiarni, widzę Annikę stojącą na chodniku. Czeka na mnie. Przenosi ciężar ciała z boku na bok, bujając się na piętach. Na mój widok natychmiast przestaje to robić.

– Dzień dobry – mówię.

– Dzień dobry. – Sukienka na ramiączkach, którą ma na sobie, w odróżnieniu od ubrań, które nosiła kiedyś, przylega do jej ciała. Moje oczy przesuwają się po jej szczupłych ramionach do obojczyka.

– Wejdziemy do środka?

– Jasne. – Rusza w stronę drzwi, ale zamiera na widok tłumu ludzi znajdującego się wewnątrz ciasnego pomieszczenia. Annika wybrała miejsce, ale to ja podałem godzinę. Może ona wolałaby spotkać się wcześniej lub później, by uniknąć tłoku.

O ile dobrze pamiętam, ta kawiarnia miała duży ogródek na zewnątrz, więc może jeszcze nie wszystko stracone. Podświadomie wyciągam rękę, by położyć ją na plecach Anniki i w ten sposób pokierować, ale w ostatniej chwili się powstrzymuję. Kiedyś byłem jedyną osobą, której do-

tyk tolerowała. Z czasem nawet pokochała otaczające ją ramiona, a moje ciało stało się dla niej osobistym kocem bezpieczeństwa.

Od tego czasu minęło jednak wiele lat.

Powoli podchodzimy do kontuaru i składamy zamówienie. W czasach college'u Annika zamówiłaby sok, ale dzisiaj oboje decydujemy się na mrożoną kawę.

– Jadłaś już śniadanie? – pytam, wskazując na witrynę pełną wyrobów cukierniczych.

– Nie, to znaczy, nie wiedziałam, czy ty już będziesz po śniadaniu, więc zjadłam tylko trochę. Nie można tego zaliczyć jako pełnoprawnego posiłku, ale na razie nie jestem głodna.

Gdy słowa przestają wypływać z jej ust, spogląda na własne buty, potem gdzieś ponad moim ramieniem, na baristę... Wszędzie, tylko nie na mnie. Nie przeszkadza mi to. Dziwactwa Anniki są dla mnie jak wsuwanie stóp w wygodną parę butów; trudno mi się do tego przyznać, nawet przed samym sobą, ale jej nerwowość zawsze sprawiała, że czułem się swobodnie.

Próbuję zapłacić, ale ona mi nie pozwala.

– Nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy usiedli na zewnątrz? – pyta.

– Nie. – Siadamy przy stoliku w cieniu ogromnego parasola. – Świetnie wyglądasz, Anniko. Już dawno powinienem był ci to powiedzieć.

Na jej twarzy pojawia się lekki rumieniec.

– Dziękuję, ty również.

Chłodny cień sprawia, że kolor na jej policzkach szybko znika. Kiedy podnoszę szklanę i wsuwam słomkę do ust, Annika uważnie śledzi ruch mojej lewej ręki. Dopiero po chwili dociera do mnie, że sprawdza, czy mam obrączkę.

– Co tam u rodziny? – pytam.

Widzę ulgę na jej twarzy, że poruszyłem taki neutralny temat.

– Wszystko w porządku. Mój tata jest na emeryturze i wraz z mamą zaczęli podróżować. Will wciąż jest w Nowym Jorku. Widziałam się z nim kilka miesięcy temu, gdy polecałam odwiedzić Janice. Ona z kolei mieszka wraz z mężem i sześciomiesięczną córeczką w Hoboken.

– Wciąż masz z nią kontakt? – Janice zawsze była dla Anniki kimś więcej niż tylko współlokatorką, więc nie powinno mnie zaskoczyć to, że ich przyjaźń przetrwała tak długo.

– Jest moją najlepszą przyjaciółką, chociaż teraz rzadko się widzimy. – Bierze łyk kawy. – A ty? Mieszkaśz gdzieś tu niedaleko?

– West Roosevelt.

– Ja w South Wabash – mówi.

Zaledwie dziesięć minut spacerkiem, tyle nas dzieliło.

– Ciekawe, ile razy mijaliśmy się, nawet o tym nie wiedząc.

– Też się nad tym zastanawiałam.

– Nigdy nie posądzałbym cię o zostanie mieszczuchem.

– To tylko dwadzieścia minut piechotą od mojej pracy. Gdy pada, wsiałam w tramwaj. Mam co prawda prawo jazdy, ale nie posiadam samochodu, bo tak naprawdę nie jest mi potrzebny.

– Jak ci się podoba praca w bibliotece?

– Uwielbiam ją. Zawsze chciałam to robić – oznajmia, po czym przez chwilę milczy. – Ty też musisz lubić to, co robisz, bo po dziesięciu latach wciąż tam pracujesz.

– To solidna firma, wywiązali się z każdej złożonej obietnicy. – Zaszedłem nawet trochę dalej, niż się tego spodziewało szefostwo. Zazwyczaj moja praca była w porządku,

choć zdarzały się też dni, kiedy jej nienawidziłem. Wtedy jednak przypomiinałem sobie, że to jest właśnie to, czego zawsze pragnąłem.

– Wciąż pływasz?

– Każdego ranka. A ty? Jak spędzasz swój wolny czas?

– Kiedy tylko mogę, pomagam w schronisku dla zwierząt. Pracuję też na część etatu w Chicago Children's Theatre. W każdą sobotę rano pomagam uczyć klasę teatralną. Napisałam dla nich sztukę.

– Napisałaś sztukę? To fantastycznie.

– To było zabawne. Dzieci wykonały świetną robotę. Teraz pracuję nad kolejną dla nich, tym razem z okazji świąt.

– W jakim wieku są?

– Pracuję z kilkoma grupami wiekowymi. Najmłodsze mają cztery lub pięć lat, a najstarsze od dziewięciu do jedenastu. To naprawdę wspaniałe dzieciaki.

– A masz jakieś swoje?

Otwiera szeroko oczy.

– Ja? Nie.

– A masz męża? Jesteś w związku?

Potrząsa głową.

– Nigdy nie byłam mężatką. Spotykałam się z kimś przez chwilę, ale zerwaliśmy. A ty? Jesteś żonaty?

– Byłem. Rozwiedliśmy się jakoś półtora roku temu.

– Czy to ta dziewczyna, o której mówiłeś przez automatyczną sekretarkę?

A więc zgaduję, że jednak dostała tę wiadomość.

– Tak.

– Masz dzieci? – Gdy czeka na moją odpowiedź, wygląda na zaniepokojoną.

– Nie.

Liz miała bardzo konkretne cele związane ze swoją karierą i nie chciała przestać wspinać się po korporacyjnej drabinie, dopóki nie przebiję głową szklanego sufitu. To właśnie jej pasja do biznesu niczym latarnia morska zaprowadziła mnie do niej, gdy po raz pierwszy przybyłem do Nowego Jorku. Popierałem ją w tej wspinaczce, ale wejście na każdy szczebel zajmuje trochę czasu i kiedy poinformowała mnie, że nie będzie gotowa założyć rodziny przed czterdziestym pierwszym rokiem życia i spytała, co sędzę o zamrożeniu jej jajników, myślałem, że żartuje.

Mówiła poważnie.

To zabawne, jak każda cecha, która sprawia, że ktoś wydaje się atrakcyjny, staje się nie do zniesienia, gdy się od siebie oddalacie. Nie na tyle zabawne, żeby się śmiać, ale wystarczająco, by zadać sobie pytanie, jak można było tego wcześniej nie zauważyć?

Zgodziłem się dzisiaj spotkać z Anniką, bo miałem nadzieję, że otrzymam kilka odpowiedzi. Gdy jednak wypiliśmy kawę, skończyło się na jałowej pogawędce. Nie jest w żaden sposób przygotowana, by wrócić do tego, co się pomiędzy nami wydarzyło. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Zmuszając ją do tej rozmowy, niepotrzebnie sprawiłbym jej przykrość.

– Gotowa? – pytam, gdy w naszych kubkach zostaje już tylko topniejący lód. W odpowiedzi wstaje i kiedy ruszamy, wspomina o tym, jak bardzo cieszy się z tego, że jej mieszkanie jest w pobliżu parku oraz muzeów. Wymienia swoje ulubione miejsca z jedzeniem na wynos oraz sklepy, w których lubi robić zakupy. Ta okolica zapewnia jej wszystko, czego mogłaby kiedykolwiek potrzebować i nazwanie jej mieszcuchem teraz nabiera sensu. Żyje w bańce, w której nic nie wyprowadza jej ze strefy komfortu. Wszystko ma w zasięgu ręki.

Od razu powinienem zdać sobie sprawę z jednej rzeczy: Annika daje sobie radę. Nie ma potrzeby nikogo ratować. Gdy docieramy do budynku, w którym mieszka, jej skoczny krok i nerwowa paplanina nasila się, w miarę jak gorączkowo wzrasta jej niepokój. Czekala, abym coś powiedział i teraz, gdy prawie jesteśmy w domu, obawia się zbliżającej konfrontacji.

Chwytam ją za rękę, ponieważ nie wiem, jak inaczej mogę ją uspokoić i wtedy uderza we mnie wspomnienie. Nagle nie znajdujemy się w South Wabash, ale w drzwiach jej mieszkania w akademiku. W dłoni trzymam jej rękę, drobną i delikatną. Czuję się tak samo, jakbym trzymał ją po raz pierwszy.

– Nie musimy o tym rozmawiać – oznajmiam. Annika się zatrzymuje. Wyraz nieopisanej ulgi na jej twarzy mówi mi, że mam rację. Dzisiaj nie będzie żadnych wyjaśnień. I tak nie jestem pewien, czy mam dość hartu ducha, by ciągnąć ją za język w celu uzyskania odpowiedzi. – Po prostu chciałem wiedzieć, czy wszystko u ciebie w porządku.

Bierze głęboki wdech.

– Jest w porządku.

– Dobrze. – Patrzę w stronę wejścia do budynku. – Cóż, powinienem już iść. Dobrze było cię zobaczyć. Dziękuję za kawę. Trzymaj się, Anniko.

Mimo że sama ma problem z rozszyfrowaniem wyrazu twarzy u innych ludzi, jej własne oblicze jest łatwą do odczytania księgą. Zawsze zastanawiało mnie to, czy specjalnie uwydatnia swoją mimikę, by pomóc ludziom w zrozumieniu jej myśli. Uważam to za ujmujące. Wygląda na zdruzgotaną, kiedy zdaje sobie sprawę z tego, że jedno wyjście na kawę jest dopiero pierwszym krokiem do powrotu „do siebie”. Mimo że nie robię tego specjalnie i na

pewno nie w celu rewanżu, dotyka mnie przelotna myśl, że to pierwszy raz, kiedy to *ja* ją krzywdzę.

Czuję się z tym fatalnie.

Może nie minęło jeszcze wystarczająco dużo czasu od rozpadu mojego małżeństwa. Nieważne jak bardzo ty i twoja małżonka zgadzacie się co do tego, że wasze małżeństwo jest nieudane. Gdy jednak każdy pójdzie swoją drogą, boli jak diabli i ten ból podąża za tobą, aż któregoś dnia wreszcie się ulatnia. Dopiero niedawno zauważyłem, że mój zniknął i nie mam zamiaru ryzykować, aby ktoś znów złamał mi serce.

Nie chcę odchodzić.

Chcę przytulić Annikę, zanurzyć palce w jej włosach i pocałować ją, tak jak kiedyś.

Zamiast tego odchodzę od niej, czując się trochę samotny i bardzo, bardzo zmęczony.

6

Annika

UNIWERSYTET ILLINOIS URBANA-CHAMPAIGN 1991

Tydzień po tym, jak ograłam Jonathana w szachy, Eric usiadł naprzeciwko mnie, kilka minut przed rozpoczęciem niedzielnego spotkania klubu. Tym samym przywrócił porządek, który zburzył w moim świecie.

– Powiedz mi, że w tym roku zgodzisz się jechać na zawody – rzucił.

– Wiesz, że nie.

– Mogłabyś jechać, gdybyś tylko chciała.

– Ale ja właśnie *nie chcę*. Nie lubię być z dala od domu.

– Musiałabyś tam pojechać tylko kilka razy. Trzy, jeśli udałoby nam się dostać do Pan-Am. W październiku odbędzie się spotkanie praktyczne w St. Louis. Na to mogłabyś pójść. Wybadasz sytuację i wrócisz do domu.

– Nie mam prawa jazdy.

– Zabierz się z kimś innym.

– Przemyślę to jeszcze.

Skinął głową.

– To dobrze. Myślę, że spodobałoby ci się tam.

Byłam pewna, że wręcz przeciwnie. Natychmiast wyrzuciłam z głowy tę myśl.

Studiowałam planszę, tworząc strategię i zastanawiając się, jak najlepiej zacząć, gdy nagle usłyszałam głos.

– Nie masz nic przeciwko, jeśli znów zagram z Anniką? – Jonathan stał nad nami, spoglądając w dół. Dlaczego miałby chcieć ponownie ze mną zagrać? W tych kilku sytuacjach, kiedy Eric był nieobecny na spotkaniach klubu, pozostali członkowie raczej unikali gry ze mną i zazwyczaj kończyło się na tym, że wymykałam się i wracałam do domu.

– Jasne, stary, nie ma problemu – powiedział Eric.

Jonathan usiadł naprzeciwko mnie.

– Nie masz nic przeciwko?

Wytarłam dłonie o materiał dżinsów, starając się nie panikować.

– Zawsze gram z Erikiem.

– To twój chłopak?

– Co? Nie, ja tylko... zawsze z nim gram.

Eric tymczasem zajął już miejsce dwa stoliki dalej, naprzeciwko Drewa, studenta pierwszego roku.

– Przepraszam, chcesz zatem, bym poprosił go, aby jednak zagrał z tobą? – zapytał Jonathan.

To było dokładnie to, czego chciałam, ale jeszcze bardziej pragnęłam, byśmy oboje zaczęli grę i wreszcie skończyli tę gadaninę. Zrobiłam więc jedyną rzecz, która przyszła mi do głowy.

Podniosłam białego pionka i wykonałam pierwszy ruch.

Tym razem to on wygrał. Wykorzystałam każdą możliwą umiejętność i doświadczenie, jakie miałam, ale nawet to okazało się niewystarczające. Zasłużył na zwycięstwo.

– Dziękuję – powiedział. – To była wspaniała gra. – Gwizdał, pakując swoje rzeczy.

Nasza gra trwała tak długo, że wszyscy inni zdążyli już pójść na kolację. Kiedy sięgnęłam po plecak i odwróciłam się, by odejść, Jonathan chwycił swój, po czym ruszył u mojego boku. Miałam nadzieję, że po prostu oboje zmierzamy w tym samym kierunku, do głównego wyjścia, i że będzie to droga w ciszy, ale się myliłam.

– Masz ochotę dołączyć do reszty i wyskoczyć na pizzę?

– Nie.

– Jesteś naprawdę niezła w szachy.

– Wiem.

– Jak długo już grasz? – spytał.

– Odkąd skończyłam siedem lat.

– A jak długo należysz do klubu szachowego?

– Od pierwszego roku.

Miał chyba z metr dziewięćdziesiąt, ja metr sześćdziesiąt pięć, a jego nogi były znacznie dłuższe od moich. Musiałam iść szybko, aby dopasować się do jego tempa i odpowiadać na pytania, którymi mnie zarzucał, co wydawało się niesprawiedliwe, ponieważ tak naprawdę nie chciałam rozmawiać ani iść obok niego.

– Zawsze chciałaś dołączyć do klubu szachowego?

– Nie.

O istnieniu klubu szachowego dowiedziałam się przez przypadek trzy tygodnie po tym, jak wprowadziłam się do akademika. Tamtego dnia zadzwoniłam do rodziców, by powiedzieć im, że rzucam szkołę i poprosić, by jak najszybciej mnie stąd zabrali. Przez ostatnie dwadzieścia dni obracałam się w paraliżującym wirze głośnych dźwięków, nieprzyjemnych zapachów, przytłaczających bodźców i mylących norm społecznych. Tego już było dla mnie po prostu

za dużo. Rodzice zabrali mnie ze szkoły w połowie siódmej klasy i do matury uczyła mnie mama, więc ta nagła zmiana była dla mnie szczególnie wstrząsająca oraz dezorientująca. Janice Albright, gadatliwa brunetka z Altoona w stanie Iowa, którą uniwersytet losowo uczynił moją współlokatorką, zdawała się bez wysiłku funkcjonować w nawalnicy życia studenckiego, podczas gdy ja wciąż błąkałam się po labiryncie, wybierając złe ścieżki i zawracając. Chodziłam za nią krok w krok. Byłam niczym smuga dymu, którego nigdy nie mogła się całkowicie pozbyć. Podążałam za Janice na wykłady, do biblioteki oraz jadalni.

Tej szczególnej niedzieli, niedługo po tym, jak skończyłam płakać, rozmawiając z rodzicami, Janice wróciła wraz z dwiema koleżankami. Jedna z nich usiadła z Janice na jej łóżku, a druga przycupnęła na końcu mojego. Ja siedziałam ze skrzyżowanymi nogami u szczytu łóżka, ale gdy przyszły dziewczyny, schowałam się pod kołdrę z książką i latarką, której używałam jeszcze w dzieciństwie, gdy rodzice kazali mi iść spać. To był wrzesień. Nasze pozbawione klimatyzacji mieszkanie zmieniło się w saunę. Pod kołdrą powietrze było gorące i duszne, niemal nie do wytrzymania.

– To, że jesteś ładna, nie oznacza, że możesz zachowywać się jak dziwak – powiedziała jedna z dziewczyn. Zamarłam, mając nadzieję, że nie mówiła tego do mnie, chociaż z drugiej strony od razu wiedziałam, że nie ma innej opcji. Już wiele razy słyszałam podobne twierdzenie, gdy robiłam coś, co ludzie uznawali za dziwne albo nietypowe. *Ale ona jest taka śliczna*, zachwycali się, jakby to, co robię, wykluczało się z tym, jak wyglądam.

Jestem śliczna. Wiem o tym z dwóch powodów: po pierwsze, ludzie powtarzają mi to przez całe życie, a po drugie, mam lustro. Czasem zastanawiam się, czy ludzie

traktowałiby mnie gorzej, gdybym była brzydka. Nigdy jednak nie myślę o tym zbyt długo, bo odpowiedź wydaje mi się oczywista.

– Bądź miła – warknęła Janice.

– Co? – Zdziwiła się tamta. – To już jest dziwne.

Chociaż Janice przez te trzy tygodnie rzadko się do mnie odzywała, zawsze była miła. Raz w drugim tygodniu mojego pobytu w akademiku, kiedy zapas czystych ubrań gwałtownie się skurczył, pokazała mi, gdzie znajduje się pralnia i jak z niej korzystać. W milczeniu stałyśmy obok siebie i składałyśmy czyste ubrania, wkładając je do kosza, który potem ona zaniosiła z powrotem do naszego pokoju.

Nagle znów ogarnęło mnie przerażenie, którego nie odczuwałam od lat. Chciałam tylko, żeby ludzie zostawili mnie w spokoju. Drżałam, czując, jak moje oczy wypełniają się łzami. Spływające kropelki potu powodowały swędzenie skóry przy linii włosów, a powietrze pod kołdrą stało się nie do zniesienia. Nie mogłam teraz pokazać swojej twarzy.

– Może jednak idźcie beze mnie – stwierdziła Janice.

– Mam trochę nauki.

– Jezu, dali ciała, przydzielając ci taką współlokatorkę

– powiedziała jedna z dziewczyn.

– Zapomnij o niej – poradziła druga. – To nie twój problem.

– Nie mam nic przeciwko temu, żeby się nią zajmować. Poza tym byłoby to jak kopnięcie szczeniaka – szepnęła Janice, ale słyszałam wszystko.

Cichy dźwięk zamykanych drzwi powiedział mi, że już wyszły. Zrzuciwszy kołdrę, wzięłam głęboki oddech, wdychając chłodniejsze powietrze.

– Jak ktoś mógłby *kiedykolwiek* kopnąć szczeniaka?

– Nie mógłby.

– Więc dlaczego *tak* mówiłaś?

– To tylko takie wyrażenie.

Wytarłam policzki wierzchem dłoni. Im bardziej starałam się powstrzymać płynące z moich oczu łzy, tym więcej ich się zbierało. Siedziałam z Janice w ciszy, a jedynym dźwiękiem było moje pociąganie nosem, gdy próbowałam się uspokoić. Dzwonek uchronił mnie przed dalszym upokorzeniem. Janice wstała, by odebrać telefon.

– Hej, tak, tu Janice. – Usłyszałam, jak mówi, a potem rozciągnęła kabel, by móc wyjść z telefonem na korytarz i porozmawiać na osobności. Wróciła po pięciu minutach, odłożyła słuchawkę, a następnie przysiadła na skraju mojego łóżka.

– Czasami brakuje mi mojego starego pokoju. Mam szczęściu braci, ale wszyscy już się wyprowadzili. Pamiętam jednak, jak to było, gdy wszyscy mieszkaliśmy razem. Doprowadzali mnie do obłądu. Trudno jest nie mieć własnej przestrzeni, w której można być samemu – oznajmiła.

Nie wypowiedziałam ani słowa, a jednak Janice jakoś zdawała się dokładnie wiedzieć, co myślę i jak się czuję. Jak ona to robiła?

– Jest tak gorąco. Pomyślałam, aby wyskoczyć do stołówki na lemoniadę. Może chciałabyś pójść razem ze mną?

Nie chciałam. Rodzice obiecali, że przyjadą następnego dnia rano, by zabrać mnie z tego koszmaru. Najchętniej wczłogałabym się z powrotem pod kołdrę i odliczała czas. Jednak jakaś część mnie rozumiała, że ona robi to dla mnie.

– Okej – powiedziałam.

Gdy szłyśmy do stołówki, Janice wskazała na budynek kliniki weterynaryjnej.

– Słyszałam, że szukają wolontariuszy. Powinnaś pójść z nimi pogadać. Prawdopodobnie będą chcieli kogoś, kto jest miły dla zwierząt.

Skinęłam głową, ale nie miałam odwagi powiedzieć jej, że już jutro mnie tu nie będzie.

Gdy stałyśmy w kolejce, by zamówić lemoniadę, dostrzegłam plansze do gry w szachy. Było ich co najmniej piętnaście, rozłożone na pobliskich stolikach, z rozstawionymi pionkami, gotowe do gry. Przy nich siedzieli studenci, śmiejąc się i rozmawiając.

Musiałam się intensywnie wpatrywać, bo po chwili usłyszałam pytanie Janice.

– Grasz?

– Tak.

– Chodź, sprawdzimy to.

– Nie chcę.

– No dalej.

Wzięłam swoją lemoniadę, po czym podążyłam za Janice do starszego studenta stojącego obok jednej z plansz.

– Co tutaj macie? Moja koleżanka gra w szachy i jest zainteresowana.

– Tutaj spotyka się klub szachowy – wyjaśnił, spoglądając na mnie. – Jestem Rob. Spotykamy się w każdą niedzielę od osiemnastej do dwudziestej. Jak się nazywasz?

Janice szturchnęła mnie.

– Annika – powiedziałam.

Odwrócił się do chłopaka po swojej prawej.

– Poznaj Erica. On też jest tu nowy. Jeśli zostaniesz, będziemy mieli liczbę parzystą i każdy będzie mógł zagrać.

– Spodoba jej się to – stwierdziła Janice.

Patrzyłam w dal. Janice przesunęła się w moje pole widzenia, by spojrzeć mi w oczy. Czułam rosnący niepokój.

– Przyjdę po ciebie o dwudziestej, dobrze? Przyjdę dokładnie tutaj, do tego stolika i razem wrócimy do domu.

– Okej. – Usiadłam naprzeciwko Erica i jedynym, co powstrzymało mnie od wpadnięcia w panikę, był jego pierwszy ruch na planszy. Instynkt wziął górę i zaczęłam układać swoją strategię, a kiedy graliśmy, zapomniałam, jak bardzo nienawidzę college’u i jak głupio się czułam, próbując robić to, co wszystkim innym przychodziło naturalnie. Dawałam z siebie wszystko, wyładowując swoje frustracje. Eric okazał się być godnym przeciwnikiem i zanim zwyciężył – choć niewiele brakowało – znów poczułam się niemal jak człowiek. Po raz pierwszy odkąd przybyłam na kampus, nie czułam, że tu nie pasuję.

– Świetna gra – powiedział Eric.

– To prawda – przyznałam głosem niewiele głośniejszym od szeptu.

Rob podał mi wydruk z informacjami na temat klubu.

– Zapraszamy w następną niedzielę.

Wzięłam kartki i kiwnęłam głową. Równie o dwudziestą przyszła Janice, by odprowadzić mnie do akademika. Jeden z moich najgorszych dni zmienił się w jeden z najlepszych. Po raz pierwszy od bardzo dawna obcy ludzie okazali mi życzliwość. Zaczynałam mieć nadzieję, że może któregoś dnia Janice i ja naprawdę zostaniemy przyjaciółkami, a dzięki nieoczekiwanemu odkryciu klubu szachowego, miałam odskocznię i powód do tego, by jednak zostać.

Później tej nocy, kiedy Janice poszła się uczyć, zadzwoniłam do rodziców, mówiąc im, żeby jednak nie przyjeżdżali.

Gdy dotarliśmy do mojego mieszkania, powróciłam myślami do rzeczywistości. Minęło dużo czasu, odkąd zastanawiałam się nad wydarzeniami, które sprawiły, że dołączy-

łam do klubu szachowego. Gdyby nie Janice, członkowie klubu oraz życzliwość, którą mi okazali tego pierwszego dnia, nie byłoby mnie teraz na ostatnim roku college'u. Chociaż wciąż miałam dużo do roboty, nauczyłam się wielu rzeczy o ludziach oraz życiu. W obu przypadkach można znaleźć wiele dobrego, jak i wiele złego.

– Tutaj mieszkasz? – spytał Jonathan, gdy skręciłam w ścieżkę prowadzącą do frontowych drzwi.

Stałam do niego tyłem i nie odwróciłam się.

– Tak.

– Okej. Dobranoc. Widzimy się w następną niedzielę.

Annika

CHICAGO
Sierpień 2001

– Co cię dzisiaj dręczy, Anniko? Może o tym porozmawiamy? – pyta Tina, kiedy przychodzę na wizytę. Po raz pierwszy, od kiedy zaczęłam terapię, mam ochotę skłamać i wymyślić wymówkę dla moich włosów ułożonych, jakbym czesała je palcami (ponieważ tak właśnie zrobiłam), cieni pod oczami (nie sypiam za dobrze) i źle dobranych ubrań (różowa spódnica i czerwona bluzka). Jednak szczerze mówiąc, byłoby to bardziej męczące niż zawstydzająca i poniżająca prawda, więc wyrzucam ją z siebie, nie oszczędzając żadnych szczegółów.

– Jonathan nie chce mieć ze mną do czynienia i dokładnie na to zasługuję.

– Myślę, że jesteś dla siebie bardzo surowa.

– Taka jest prawda.

– Dlaczego myślisz, że nie chce się z tobą więcej widzieć?

– Ponieważ... – mówię, świetnie zdając sobie sprawę z tego, że brzmię jak nadąsana nastolatka. Nie mogę poradzić sobie z frustracją spowodowaną tym, że sprawa z Jonathanem nie rozwija się w taki sposób, w jaki oczekiwałam. – Myślałam, że możemy zacząć od momentu, w którym skończyliśmy.

– Masz na myśli to, co czuł wtedy, kiedy czekał na ciebie w Nowym Jorku?

– Tak, teraz jestem gotowa.

– A co z Jonathanem? Myślisz, że on nadal jest gotowy?

Ledwie rozumiem swoje własne myśli, więc nie miałam pojęcia o przemyśleniach Jonathana.

– Dopóki nie zostawił mnie stojącej na chodniku, sądziłam, że jest.

– Myślisz, że w jakiś sposób próbuje coś na tobie wymusić ze względu na przeszłość?

– A nie jest tak?

– Może mieć inny powód. Dziesięć lat to dużo czasu. Jestem pewna, że w jego życiu wiele się wydarzyło, tak samo jak w twoim.

Przeszukiwałam swój mózg, wyciągając z zakamarków pamięci informacje na temat Jonathana.

– Jest rozwiedziony. Nie ma dzieci. Myślę, że dużo pracuje. Mieszka nie tak daleko ode mnie.

– Rozwód jest poważną i zazwyczaj bardzo stresującą zmianą w życiu. Jonathan mógł zawsze wydawać ci się nie do zdarcia, ale on też jest człowiekiem i odczuwa ból tak samo, jak każdy inny. Możliwe, że to nie przeszłość, a jego obecna sytuacja wpłynie na jego decyzję, czy zamierza znowu się z tobą spotkać.

Razem z Tiną spędzamy godziny, pracując nad trudnościami, jakie mam z postawieniem się na czyimś miejscu. Po tym, jak zobaczyłam odchodzącego Jonathana, spędziłam cały dzień, usiłując dojść do tego sama. Moja frustracja rosła, bo za nic w świecie nie potrafiłam na to wpaść, nieważne jak bardzo próbowałam. Po prostu założyłam, że był na mnie wściekły za to, co zrobiłam. Nie potrafiłam więc się zrelaksować i zasnąć. A Tina, w mniej niż piętna-

ście minut, bez wysiłku rozwikłała to za mnie i w końcu zrozumiałam. Wszystkie te dodatkowe czynności są wyczerpujące. Pamiętam, że byłam oszołomiona, kiedy Tina wytłumaczyła mi, że większość ludzi dochodzi do tego typu wniosków bez żadnej dodatkowej analizy. To takie niesamowite, a jednocześnie załamujące, ponieważ nigdy nie będę jedną z tych osób.

– Po prostu... tak bardzo chciałam mu pokazać, że się zmieniałam, że nie jestem tą samą dziewczyną, co kiedyś.

– Ale to jest to, czego ty chcesz. On również ma coś do powiedzenia. – Tina zapisała coś w notatniku, który spoczywał na jej kolanach. – Myślisz, że Jonathan chciałby, abyś się zmieniła?

– Czy nie każdy by tego pragnął? Jak można nie chcieć, aby ktoś się zmienił po tym, jak cię skrzywdził?

– Zmienianie tego, jak sobie z czymś radzisz, nie jest tym samym, co zmienianie siebie jako osoby. Jonathana tu nie ma, więc nie mogę odpowiedzieć za niego, ale przez lata prowadzenia terapii rozmawiałam z wieloma ludźmi. Rzeczą, którą najczęściej słyszę od nich, jest to, że druga osoba się zmieniła i żadna z tych osób nigdy nie powiedziała, że to dobrze.

– Jak myślisz, co powinnam zrobić?

Tina potrząsnęła głową.

– To twoja praca domowa na następne spotkanie. Chcę, abyś ty mi to powiedziała.

Annika

UNIWERSYTET ILLINOIS URBANA-CHAMPAIGN 1991

Jonathan wychodził z Lincoln Hall, gdy ja z Janice przechodziłyśmy tamtędy w drodze na zajęcia. Uśmiechnął się i przywitał, ale ja nie zareagowałam.

– Kto to był? – spytała Janice.

– Jonathan. Klub szachowy.

– Chłopak, z którym wygrałaś?

– Tak. – Nie chciałam o nim rozmawiać. Sama myśl o rozmawianiu z Janice o jakimkolwiek chłopaku budziła zbyt wiele nieprzyjemnych wspomnień. Mogłam rozmyślać o Jonathanie, ale nie byłam gotowa, by otwarcie o nim mówić.

Szturchnęła mnie łokciem.

– Jest jakiś powód, dlaczego nie wspomniałaś, jaki on jest przystojny?

– Jesteś może głodna? Masz ochotę na lunch? Ja bym coś zjadła.

– Och, Annika. To zabawne. Myślisz, że tak łatwo dam ci się wymigać?

– Naprawdę chciałabym, abyś dała.

– Nie ma szans.

- Nie potrafię zrobić tego znowu. Nie chcę.
- Nie każdy chłopak jest zły. Wielu z nich jest naprawdę fajnych.
- Cóż, obydwie wiemy, że sama nie jestem w stanie dostrzec różnicy.
- Nie martw się. Tym razem będę mieć go na oku.
- To nie jest konieczne. Jestem pewna, że nie myśli o mnie w ten sposób.
- Gdzie chcesz zjeść lunch?
- Właściwie to wzięłam zmianę w klinice. Mają oposa ze złamaną łapą, na którego chcę rzucić okiem. Biedne stworzonko. Jest taki słodki. Powinnaś zobaczyć jego maleńką szynę – oznajmiłam.
- Dlaczego więc zasugerowałaś lunch?
- Po prostu chciałam zmienić temat.
- Nie mogę uwierzyć, że się na to nabrałam. – Janice pokręciła głową.

Klinika weterynaryjna Uniwersytetu Illinois przyjmowała rodzime dzikie zwierzęta, które potrzebowały opieki z powodu choroby, ran bądź osierocenia. Naszym celem było je wyleczyć i wypuścić z powrotem w dzicz. Sporą część wolontariuszy stanowili studenci weterynarii, ale było kilka osób – takich jak ja – których dozgonna miłość do zwierząt, a nie przyszły fach zaprowadziły do kliniki za budynkiem medycyny weterynaryjnej w południowej części kampusu. Miałam słabość do mniejszych zwierząt, ale czułam też wyjątkową więź z ptakami. Były majestatycznymi istotami i nic nie satysfakcjonowało mnie bardziej niż wypuszczenie jednego z nich i obserwowanie, jak wzlatuje wysoko w stronę nieba.

Założyłam rękawiczki, po czym kołysałam w dłoniach małe zwierzątko. Wcześniej wspomniany opos, który, jak zdecydowałam, powinien zostać nazwany Charlie, miał przed sobą długą drogę, jednak zapewniając mu odpowiednią opiekę oraz troskę, dawaliśmy mu szansę na powrót do naturalnego środowiska.

Do pokoju weszła Sue, studentka ostatniego roku, która była wolontariuszką w klinice niemal tak długo, jak ja. Czułam się z nią bardzo komfortowo.

– Cześć, Annika. Och, spójrz na to maleństwo.

– Czyż nie jest uroczy? Chcę go wziąć ze sobą do domu. Wiesz, że oposy wcale nie wiszą na swoich ogonach? Ludzie myślą, że tak właśnie robią, ale to nieprawda. Mają uszy jak Myszka Miki i pięćdziesiąt zębów, ale nie są groźne. – Pewnego dnia, gdy uczyłam się w bibliotece, moją uwagę zwróciła książka o oposach. Dowiedziałam się z niej wielu fascynujących rzeczy. Wymienianie wszystkich zajęło niemal dziesięć minut, ale podzieliłam się z Sue każdym szczegółem, ponieważ byłam pewna, że chce o tym wiedzieć.

– Najwyraźniej jest w dobrych rękach. – Spojrzała na zegarek i ścisnęła moje ramię. – Muszę już lecieć. Zobaczymy się później, dobrze?

– Dobrze.

Przez resztę zmiany czyściłam klatki, pomagałam podawać leki i poświęcałam uwagę każdemu zwierzęciu, które tego potrzebowało. Zanim wyszłam po zakończonej pracy, wróciłam pożegnać się z Charliem. Myślałam o tym, jak będzie mi go brakować, gdy nadejdzie już czas rozstania. Przez moment zastanawiałam się, czy kiedykolwiek poczuję takie przywiązanie do jakiejś osoby, jakie czułam do zwierząt.

I naszła mnie myśl o tym, jakie byłoby to bolesne, gdy-
bym to ja musiała odejść.

9

Annika

CHICAGO
Sierpień 2001

– Idę zjeść lunch – mówi Audrey, moja współpracowniczka. Dzielimy razem małe biuro, w którym mieszczą się nasze biurka, komputery oraz kilka szafek na dokumenty. Parokrotnie zdarzyło się, że wchodziła do pomieszczenia i przyłapywała mnie na wpatrywaniu się w pustą przestrzeń.

Żartowała, że powinnam przestać się ociagać, ale mówiąc to, nie brzmiała, jakby chciała mi dokuczyć. No i się nie ociagam. Patrząc w pustkę, oczyszczam umysł, dzięki czemu mogę poradzić sobie z każdym problemem, z którym się zmagam.

– Dobrze – przytakuję, ponieważ Audrey nie cierpi, gdy ją lekceważę. Ja po prostu nie wiem, jakiej odpowiedzi ode mnie oczekuje. Kiedy każdego dnia wyciągam ze swojej torby kanapkę z masłem orzechowym, nie oznajmiam, że będę jadła lunch. To po prostu czas na lunch. Właśnie wtedy go jem.

Gdy tylko Audrey wychodzi, wyciągam kartkę papieru z szuflady biurka. Zapisałam na niej wszystko to, co powiem Jonathanowi, kiedy do niego zadzwonię. Jedyne, co

muszę zrobić, to głośno to przeczytać. Długo i intensywnie rozmyślałam nad tym, co powiedziała Tina. Chciałam dać Jonathanowi do zrozumienia, że wiem, przez co przechodził, i że pragnę spędzić z nim trochę więcej czasu. Jonathan tak wiele dla mnie znaczy i jednocześnie jest dla mnie przyjacielem, a tych nie mam zbyt wielu.

Dosłownie chwilę przed sygnałem jego automatycznej sekretarki Audrey wraca do biura. Nie chcę, aby zobaczyła, że czytam z kartki, więc chowam ją pod biurko.

– Hej, Jonathan. Tu Annika. Znowu. Po prostu, hmm... pomyślałam, że może chciałbyś się spotkać w niedzielę. – Zasycha mi w gardle i biorę szybki łyk wody, której stróżka ścieka mi po podbródku. – Zapowiada się ładna pogoda, więc możemy wziąć ze sobą lunch i iść do parku. Jeżeli jesteś zajęty lub nie chcesz, to w porządku. Chcę, abyś wiedział, że *rozumiem* przez co przechodziłeś. Po prostu pomyślałam, że spytam. Okej, pa.

Rozłączam się, biorę głęboki oddech.

– Czy to był prywatny telefon? – pyta Audrey.

– To nic takiego. – Potrzebuję minuty, by uspokoić oddech oraz adrenalinę krążącą w moich żyłach z powodu jednego głupiego telefonu.

– Nie wyglądało jak „nic takiego”. Kim jest Jonathan?

Nie odpowiadam jej. Pracuje tu trzy lata dłużej ode mnie i uważa, że posiada uprawnienia do poznania wszystkich aspektów mojego życia, nie tylko tych związanych z pracą.

– Jest po prostu starym znajomym.

Opiera się o krawędź mojego biurka.

– Coś jak były chłopak?

– Teraz mam przerwę na lunch. – Dlaczego nie powiedziałam tego wcześniej? Czy nie widzi kanapki na moim biurku?

– O czym ty mówisz? – pyta wrednym tonem, tym samym, którego używa, kiedy uważa, że powiedziałam coś szczególnie dziwnego.

– Chodziło mi o to... kiedy pierwszy raz weszłaś i spytałaś, czy to był prywatny telefon. Mam przerwę na lunch.
– Zamykając oczy, pocieram skronie.

– Źle się czujesz czy co? – pyta w taki sposób, jakbym była małym dzieckiem. Jej głos zawsze jest bardzo głośny, więc odbieram to tak, jakby na mnie krzyczała.

– Po prostu zaczęła mnie boleć głowa.

– Będziesz mogła zostać dzisiaj do końca? Nie jestem w stanie pracować za ciebie, tak jak musiałam, gdy nie było cię w zeszłym tygodniu. Tamtego wieczoru musiałam zostać do późna.

– Przepraszam – bełkoczę.

– Miałam naprawdę dużo dodatkowej pracy.

– Nie ma potrzeby, byś pracowała za mnie. Wezmę coś na ból głowy. – Audrey gapi się na mnie, nie ruszając się z miejsca. Wysuwam szufladę i wytrząsam na dłoń kilka tabletek przeciwbólowych. Krztuszę się lekko, próbując je połknąć, ponieważ wzięłam zbyt mały łyk wody z butelki.

Współpracowniczka wzdycha, sięgając do szuflady swojego biurka po krakersy.

– Jestem pewna, że zupa już mi wystygła – mówi, ponownie opuszczając pomieszczenie i mimo że nie miałam na to wpływu, to czuję się, jakby to była moja wina.

Kiedy Audrey wraca, prześlizguję się do pokoju wypoczynkowego, by przygotować sobie herbatę i zobaczyć się ze Stacy. Zawsze wita mnie uśmiechem, a jej głos jest bardzo kojący. Kiedy oparza sobie palec posiłkiem z mikrofali, mówię jej, że jest mi przykro, po czym lekko ją przytulam.

– Och – mówi. – Cześć, Annika. Daj mi chwilkę, tylko to odłożę. – Kładzie jedzenie na ladzie. – Co się stało? – Jej głos, o ton wyższy, nie brzmi tak uspokajająco jak zazwyczaj.

– Przykro mi, że oparzyłaś sobie palec.

– Zawsze jesteś taka słodka, ale będzie dobrze. Dziękuję, Anniko. – Chwyta posiłek i w pośpiechu opuszcza pokój. Musi być spóźniona na spotkanie czy coś.

Dzień dobiega końca. Kiedy wyłączam komputer i chcę udać się do domu, przypominam sobie, że jedynym powodem, dla którego Audrey musiała mnie zastąpić, było spotkanie, w którym brałam udział na prośbę naszego szefa.

Ból głowy w ogóle nie mija, wracam do domu kompletnie wyczerpana. Karmię kocią mamę i jej pięcioro kociąt, które aktualnie mieszkają w kartonie pod moim łóżkiem. Spędzam godzinę, leżąc na podłodze naprzeciwko nich, wsłuchując się w uspokajające miauczenie, aż w końcu ból głowy mija. Przygotowuję sobie miskę płatków i kiedy kończę jeść, zakładam piżamę, a następnie wślizguję się do łóżka z książką, mimo że jest dopiero dwudziesta trzydzieści.

Godzinę później dzwoni telefon. Nie mam zapisanego numeru, bo niewiele osób do mnie dzwoni. Pozwalam działać mojej automatycznej sekretarce, żeby mieć czas, aby zdecydować, czy chcę rozmawiać z tą osobą. To strasznie denerwuje moją mamę. Wyprowadza też z równowagi Janice, która zawsze krzyczy: „Odbierz, Annika! Wiem, że tam jesteś i wiem, że chcesz ze mną rozmawiać”.

Chcę pozwolić automatycznej sekretarce wykonać swoją pracę, ale wtedy przychodzi mi do głowy, że może to być Jonathan, więc odbieram już po kilku sekundach.

– Halo?

To *on*. Zalewa mnie fala euforii. Ponadto głos Jonathana zawsze wydaje mi się bardzo kojący. Nigdy nie mówi za głośno i jest coś komfortowego w sposobie, w jaki układa słowa w zdania. Jego głos jest jak melodia. Audrey natomiast brzmi jak sygnał mgłowy, ilekroć wpada do pokoju, a sposób, w jaki układa słowa, *nie* jest melodyjny. Brzmi jak death metalowy wrzask.

– Nie obudziłem cię, prawda?

Jest dopiero dwudziesta pierwsza trzydzieści, ale nikt nie zna tak dobrze moich zwyczajów związanych ze snem jak *on*.

– Nie, nie obudziłeś mnie. Czytam w łóżku.

– Mogę wyjść z tobą w niedzielę – mówi.

– To świetnie! – rzucam trochę zbyt głośno.

– Dobrze, cóż. To tylko lunch, tak?

– To właśnie powiedziałam w wiadomości. To tylko lunch.

– Tak, wiem. Miałem na myśli... nieważne. Może być lunch. Lunch będzie świetny. Chcesz, bym przyjechał po ciebie do domu?

– W niedzielę rano będę w teatrze dziecięcym. Możesz stamtąd mnie odebrać? Około dwunastej.

– Pewnie.

– Dobrze. Więc do zobaczenia.

– Dobranoc – mówi.

– Dobranoc.

Po skończeniu rozmowy, nie wracam od razu do książki. Następne pół godziny rozmyślałem o Jonathanie, wracając myślami do ważnych momentów, które przeżyliśmy, będąc razem, a kiedy budzę się rano, jest pierwszą osobą, o której myślę.

10

Annika

UNIwersytet ILLINOIS URBANA-CHAMPAIGN 1991

Odgłos kroków na chodniku odbijał się głośnym echem. Odwróciłam się, by zobaczyć biegnącego w moim kierunku Jonathana. Gdy wychodziłam, był pogrążony w rozmowie z Erikiem i kilkoma innymi graczami, więc założyłam, że pójdzie z nimi na kolację. Znowu graliśmy razem i teraz udało mi się wygrać. Jonathan jednak zdawał się nie mieć nic przeciwko temu.

– Lubię z tobą grać, Annika – powiedział.

Poczułam rozchodzące się po całym ciele ciepło, ponieważ podobne wyznanie usłyszałam dotychczas tylko od Erica, ale nie pamiętałam, by wywołało u mnie podobną reakcję. Rozmowa z Jonathanem przychodziła mi coraz łatwiej; już nie czułam się spięta i nie jąkałam się, odpowiadając.

– Hej – zagaił, gdy mnie dogonił. – Zapomniałaś swojej książki.

Wyciągnął rękę i dostrzegłam w jego ogromnych dłoniach mój egzemplarz *Sensu i świadomości*.

– Dziękuję.

– Robi się ciemno, nie powinnaś wracać sama do domu.

– Wszyscy zawsze idą na wspólną kolację.

– A dlaczego ty nie?

– Nie chcę. – Włożyłam książkę do plecaka, po czym razem przeszliśmy przez jezdnię. Zazwyczaj nie znosiłam krótkich pogawędek z ludźmi, ale tym razem ciekawość wzięła górę. – A dlaczego *ty* nie poszedłeś z nimi?

– Pracuję. W soboty i niedziele jestem barmanem w Illini Inn. Byłaś tam kiedyś?

– Nie.

– Powinnaś wpaść, na przykład, gdy ja będę miał zmianę.

– Nie chodzę do barów.

– Och. – Podciągnął wyżej ramię plecaka i przez kolejną minutę szliśmy w ciszy.

– Rozważałaś kiedykolwiek wzięcie udziału w zawodach grupowych? Eric powiedział, żebym spróbował i chyba tak zrobię.

– Nie.

– Dlaczego?

– Nie chcę.

– Musi być jakiś powód.

– To dla mnie zbyt dużo.

– Natłok zajęć w tym semestrze?

– Z zajęciami daję radę, ale dodatkowo dwa dni w tygodniu jestem wolontariuszem w klinice weterynaryjnej, a w niedziele mam klub szachowy. To mi wystarczy. – Potrzebowałam więcej wolnego czasu niż inni ludzie, żeby poczytać, wyspać się i pobyć sama ze sobą. – Jeśli tak bardzo podobają ci się szachy, dlaczego dołączyłeś do klubu dopiero na ostatnim roku? – spytałam.

– To mój pierwszy rok tutaj. Przeniosłem się z Northwestern.

– Och.

Zatrzymał się nagle.

– Dziękuję ci. Jesteś dosłownie jedyną osobą, która po usłyszeniu tego nie spytała natychmiast dlaczego.

Również stanęłam.

– Nie ma za co.

Wpatrywał się we mnie przez kilka sekund skonsternowany, a potem znów ruszyliśmy.

– Dlaczego zawsze pachniesz chlorem?

– Naprawdę o to chcesz mnie zapytać?

– Tak.

– Pływam prawie codziennie, tak dla sportu. Przez długi czas byłem niższy od moich rówieśników, więc nie grałem w futbol ani koszykówkę, a jeśli nie zaczniesz się wcześniej, to potem trudno jest nadrobić zaległości. W pływaniu jednak jestem niezły. Przykro mi, jeśli przeszkadza ci zapach chloru. Zdaje się, że już nawet prysznic nie pomaga.

– Nie przeszkadza mi.

Dotarliśmy do mojego mieszkania, więc zostawiłam Jonathana stojącego na chodniku i ruszyłam w stronę drzwi. Zanim jednak dotknęłam klamki, usłyszałam jak woła:

– Powinnaś przemyśleć wzięcie udziału w zawodach!

– Przemyślę to.

Nie zamierzałam.

11

Jonathan

CHICAGO
Sierpień 2001

O dwunastej czekam przed teatrem. Annika wychodzi na zewnątrz otoczona przez dzieci. Trzyma za rączkę małego chłopca, a potem kuca, aby go uścisnąć, zanim ten podchodzi do swojej mamy. Dzieci rozbiegają się do swoich rodziców, machając i żegnając się z Anniką. Odmachuje im, a jej twarz rozświetla uśmiech, który poszerza się, kiedy mnie zauważa. Myślę sobie, że dobrze zrobiłem, akceptując jej zaproszenie. Jak powiedziałem jej przez telefon, to tylko lunch. Nie powiedziałem, że miałem straszny dzień i kiedy usłyszałem jej ostatnią wiadomość głosową poprawił mi się humor. Annika jest świetnym lekarstwem na zły nastrój.

Podchodzi do mnie.

– Wygląda na to, że masz całkiem niezły fanklub – mówię.

– Uważam dzieci za bardziej interesujące od większości dorosłych.

Nie dziwi mnie jej postawa. Dzieci nie czują nienawiści, niestety część z nich w dość młodym wieku uczy się władać nią jak bronią i nikt nie wie tego lepiej niż Annika. Zawsze

otaczała ją dziecięca aura, co zapewne mocno zbliżało ją do dzieci. Z tego powodu dorośli często są dla niej niemili. Błędnie wiążą to z brakiem inteligencji lub zdolności, co nie jest prawdą.

– Odebrałem lunch – mówię, unosząc paczkę z Dominick’s. Sklep miał świetną ofertę na wynos.

– Ale to ja cię zaprosiłam. Ja powinnam zapłacić.

– Płaciłaś ostatnim razem. Teraz moja kolej.

Od ostatniego tygodnia znacznie spadła wilgotność powietrza i gdy kierujemy się w stronę Grand Parku, powietrze jest nawet znośne. W trakcie drogi Annika milczy.

– Czy coś jest nie tak? Jesteś jakaś taka cicha – pytam.

– Ostatnim razem mówiłam za dużo. Byłam nerwowa.

– Spokojnie, to tylko ja.

Wygląda na to, że całe Chicago postanowiło udać się dzisiaj do parku. Torujemy sobie drogę przez tłum, aż w końcu znajdujemy wolne miejsce na trawie, by usiąść i zjeść lunch. Wyciągam z torby kanapki oraz frytki. Podaję Annice butelkę lemoniady, a sobie otwieram colę.

– Przyniosłeś swoją planszę – mówi, wskazując na pokrowiec, który miałem wcześniej przewieszony przez ramię, a który teraz spoczywał przed nami na trawie.

– Myślałem, że możesz mieć ochotę na partyjkę. – Właściwie to uznałem, że to ją uspokoi. Zawsze dobrze rozumieliśmy się, kiedy graliśmy w szachy.

– Chciałabym. Wyszłam już z wprawy. Prawdopodobnie wygrasz.

– Prawdopodobnie wygram, bo jestem od ciebie lepszy.

– Zrozumienie, że się z nią droczę, zajmuje jej chwilę, ale uśmiecha się.

Jest piękna, kiedy się uśmiecha.

Wokół nas ludzie bawią się frisbee, wielu z nich biega po trawie boso. Odganiem pszczołę, która przyczepiła się do lemoniady Anniki. Gdy kończymy jeść, rozkładam planszę i zaczynamy grać.

Niemal wszystko w Annice wydaje się delikatne. Jej dłonie są o wiele mniejsze od moich i kiedy spotkałem ją pierwszy raz, spędziłem wystarczająco dużo czasu, wpatrując się w nie, gdy zastanawiała się nad swoim następnym ruchem, że zacząłem zastanawiać się, jakby to było jedną potrzymać w swojej dłoni. Nasza gra w szachy często stawała się naprawdę bezwzględna. Annika ledwo była w stanie na mnie spojrzeć, gdy pierwszy raz odprowadziłem ją do domu, ale na pionki szachowe zawsze patrzyła z głębokim skupieniem. Dzisiaj jest tak samo. To dobra partia. *Owszem*, wyszła z wprawy, ale daje z siebie wszystko. Ja również się koncentruję, bo wciąż pamiętam naszą pierwszą rozgrywkę, gdy rozłożyła mnie na łopatki.

Dzisiaj to ja jestem górą.

– Szach-mat – oznajmiam.

Annika nie może ruszyć swoim królem. Nie może mnie zablokować ani zbić mojego pionka. Wnioskując z jej zmarszczonego czoła i sposobu, w jaki patrzy na planszę, zadręcza się przegraną.

– Dałam ci wygrać – mówi.

Śmieję się.

– Nie, nie dałaś. Grałaś dobrze, ale ja byłem lepszy.

– Nie podoba mi się to, że mnie pokonałeś.

– Wiem.

Podczas gdy zbieramy pionki i odkładamy je na miejsce, Annika mówi:

– Po naszym ostatnim wyjściu na kawę nie zachowywałeś się tak, jakbyś chciał się jeszcze spotkać.

Mój przekorny uśmiech zastępuje niepewność, ale nie wiem, czy Annika to spostrzeże.

– Chciałem. Nie wiedziałem po prostu, czy to dobry pomysł.

– Ale mieszkamy teraz w tym samym mieście. Jestem gotowa i tym razem przejmuję inicjatywę. Nie zostawiam wszystkiego tobie.

– Są sprawy, o których jeszcze nie rozmawialiśmy, dlatego że nie byłem pewny, czy chcesz o nich rozmawiać.

– Myślałam, że możemy zapomnieć o wszystkim, co się stało i zacząć od nowa.

– To tak nie działa.

– Byłoby o wiele łatwiej, gdyby tak właśnie działało. – Wpatruje się w koc, a po minucie dodaje: – Raz w tygodniu chodzę na terapię. Zaczęłam, gdy tylko się tutaj przeprowadziłam. Moja terapeutka ma na imię Tina. Naprawdę pomogła mi zrozumieć, dlaczego ja... dlaczego postrzegam wszystko w taki sposób. Powiedziałam jej, że po tym, co pomiędzy nami zaszło, prawdopodobnie nie chcesz mieć ze mną nic do czynienia, ale ona twierdzi, że wpływ na to może mieć także twój rozwód.

– Wydaje mi się, że obie rzeczy po trochu. – Ciężko jest przyznać, nawet przed samym sobą, że myliłeś się, co do osoby, którą uważałeś za idealną dla siebie. Jeszcze trudniej jest przyznać, że część jej uroku wzięła się stąd, że była całkowitym przeciwieństwem Anniki. Wtedy przekonałem samego siebie, że było to dla mnie wszystkim. Do czasu aż odwróciło się przeciwko mnie i zdałem sobie sprawę, że wcale nie miało to takiego znaczenia, jakie temu przypisywałem.

– Po rozwodzie nabrałem rozwagi. Zaczęłem trochę w siebie wątpić – mówię.

Annika jednak ma rację, biorąc na siebie część odpowiedzialności za moje niezdecydowanie, ponieważ bez wątpienia sama nie jest bez winy.

– A jak z tobą? Jakies rozstania w przeszłości?

– Umawiałam się z jednym ze współpracowników z biblioteki. Jest dobrym facetem i nieźle się dogadywaliśmy. Przez sześć miesięcy staraliśmy się, by było romantycznie, ale okazał się zbyt podobny do mnie. – Patrzy mi w oczy i niemal natychmiast odwraca wzrok. – To była katastrofa. Ludzie tacy jak my potrzebują... ludzi nie takich jak my. Dla zachowania balansu. Teraz jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. Z kolejnym mężczyzną umawiałam się przez ponad rok. Mówił, że mnie kocha, ale nigdy nie był w stanie zaakceptować mnie taką, jaką jestem i z tego powodu uważał mnie za niewartą uwagi. Czasami zastanawiam się, czy gdybyśmy zostali razem, to zaczęłabym w to wierzyć.

– Może cię *kochał*, ale go do siebie nie dopuściłaś.

Kręci głową.

– To dzięki tobie wiem, jak to jest czuć się kochaną i akceptowaną. – Do jej oczu napływają łzy. Mruga, by się ich pozbyć.

– Może tym razem to ja jestem osobą, która potrzebuje czasu.

– Mogę dać ci czas, Jonathanie. Będę na ciebie czekać tak samo, jak ty zawsze czekałeś na mnie.

Annika ma na sobie wsuwane buty i nie ma skarpet. Sięgam, aby delikatnie je ściągnąć. Spogląda na mnie i uśmiecha się, kiedy uderza ją wspomnienie. Porusza palcami stóp po trawie, jakby to było najlepsze uczucie na świecie.

Ja również się uśmiecham.

12

Annika

UNIWERSYTET ILLINOIS URBANA-CHAMPAIGN 1991

Jonathan starał się mnie przekonać, bym dołączyła do drużyny na zawodach. To, że Eric go w tym wspierał, wcale nie pomagało; teraz naciskali na mnie obaj.

– A jakbym w środę po ciebie przyjechał i zawiózł na to spotkanie? – spytał. – Wtedy byś poszła?

Dopiero od niedawna czułam się komfortowo w obecności Jonathana, nie byłam gotowa na kolejne działanie, zwłaszcza tak stresujące, jak zawody szachowe.

– Może. – Chciałabym móc zaprotestować, że wcale nie potrzebuję niańki, ale dokładnie taką właśnie rolę miałby Jonathan. Prawda była taka, że za wszelką cenę starałam się unikać próbowania nowych rzeczy.

Spakowaliśmy się i razem opuściliśmy budynek związku studenckiego. Teraz Jonathan co tydzień po spotkaniu klubu odprowadzał mnie do domu. Wszyscy inni udawali się na kolację, a my szliśmy ramię w ramię aż do mojego mieszkania.

To była dla mnie największa atrakcja w tygodniu.

Gdy szłam na spotkanie klubu, niebo zasnuwały ciężkie, zwiastujące deszcz chmury, a teraz, gdy chciałam wyjść na ze-

wnątrz, zobaczyłam, że przyniosły prawdziwą ulewę. Wyciągnęłam z plecaka parasolkę, zastanawiając się, czy zadzwonić po Janice i zapytać, czy mogłaby po mnie przyjechać swoim samochodem. Sama nie umiałam prowadzić, nawet nigdy nie uzyskałam prawa jazdy, mimo próśb mojej mamy. Przeraziła mnie sama myśl o prowadzeniu ważącej tysiąc kilogramów góry metalu. Jedynym, co mnie łączyło z komunikacją, była stara, niebieska kolarzówka Schwinn.

– Przyjechałam samochodem. Mogę cię podwieźć do domu.

Stres przed byciem sam na sam z Jonathanem w jego aucie prawie uniemożliwił mi przyjęcie jego propozycji, ale zanim zdążyłam o tym pomyśleć, otworzył przede mną drzwi i osłonił nas oboje swoim parasolem. Ruszyliśmy w stronę parkingu. Wiał wiatr, więc szliśmy szybko w stronę białego pick-upa. Jonathan otworzył drzwi od strony pasażera i podbiegł, by odblokować swoje od strony kierowcy.

To był początek października i dni stawały się coraz zimniejsze. Wilgoć w powietrzu dodatkowo potęgowała uczucie chłodu. Zapomniałam zabrać z domu kurtki i teraz pocierałam dłońmi ramiona, próbując się rozgrzać.

– Zimno ci?

– Zapomniałam kurtki.

Jonathan przekręcił pokrętkę na desce rozdzielczej i z otworów wentylacyjnych popłynęło ciepłe powietrze.

– Za parę minut powinno się nagrzać.

Na skrzyżowaniu ruch uliczny zwolnił. Było już całkiem ciemno i na początku nie rozumiałam, dlaczego samochody stoją na zielonym świetle oraz dlaczego niektórzy trąbili tak głośno, że miałam ochotę zatkać uszy. W pewnym momencie spostrzegłam gęś i długi rząd drepczących za nią gąsiątek, próbujących przejść na drugą stronę jezdni.

Większość samochodów się zatrzymała, ale niektóre przejechały przez skrzyżowanie, nie zważając na zwierzęta.

Bez namysłu wyskoczyłam z samochodu, w pośpiechu zostawiając szeroko otwarte drzwi. Jonathan musiał wyskoczyć z auta tuż za mną, bo słyszałam jego krzyk.

– Annika! Jezu! Uważaj!

Gęś syknęła, gdy próbowałam wyprowadzić ją i jej potomstwo w bezpieczne miejsce. Deszcz zalewał mi oczy, tak samo jak Jonathanowi, który zaczął kierować ruchem, wyciągając ręce niczym policjant, by zatrzymać podjeżdżające zbyt blisko samochody. Szłam razem z gęsiami, osłaniając je własnym ciałem, gdy powoli dreptały przez skrzyżowanie aż do bezpiecznego rowu na poboczu. Podniekcytowana zaczęłam klaskać, bo przecież uratowaliśmy je, ale zaraz musiałam podnieść ręce do uszu, by zablokować wściekłą kakofonię klaksonów. Jonathan i ja wróciliśmy do auta, po czym włączyliśmy się do ruchu, gdy tylko zapaliło się zielone światło. Odwróciłam się, wyciągając szyję, by zobaczyć gęsi w ciemnościach. Poczułam ulgę, gdy wypatrzyłam kołyszącą się głowę matki-gęsi. Zeszła daleko od drogi. Miałam nadzieję, że bez przeszkód dotrze ze swoimi dziećmi tam, gdzie zamierzała spędzić noc.

– To było szalone – skomentował Jonathan. – Nie przypuszczałem, że wyskoczysz z auta. Wystraszyłem się nie na żarty.

– Widziałeś te samochody? Niektóre przejechałyby te biedne gęsi jak nic. Nie mam pojęcia, skąd się tu w ogóle wzięły.

– Niektórzy po prostu muszą wyluzować.

– Chciałbyś poznać moją współlokatorkę?

– Teraz? – zapytał.

– Tak.

– Muszę jechać do pracy, a wcześniej chciałbym jeszcze pojechać do domu i przebrać się w suche ubrania.

– Ach, faktycznie, zapomniałam.

– Ale mogę wpaść na kilka minut, jeśli chcesz, bym ją poznał.

Jonathan zaparkował pick-upa i ruszył za mną po schodach do mojego mieszkania. Joe z Janice siedzieli na kanapie i oglądali telewizję.

– To zapach kadzidła – wyjaśniłam.

– Okej – odpowiedział Jonathan.

Całkiem nieźle odczytywałam mimikę Janice, ponieważ uczyłam się tego od dnia, w którym ją poznałam. Wiedziałam, że w tamtym momencie patrzyła na nas z uśmiechem mówiącym: „Jestem zachwycona”.

– Annika, kto to taki? – spytała.

– To Jonathan, odwiózł mnie do domu, bo pada.

– Hej – przywitał się.

– A to moja współlokatorka, Janice, i jej chłopak, Joe. Śmierdzi gandzią, dlatego palimy kadzidło.

Joe burknął pod nosem „cześć”, a Janice uściśnięła Jonathanowi dłoń.

– Miło mi cię poznać – powiedziała.

– Mnie również.

– Dlaczego jesteście cali mokrzy?

– Pomagaliśmy gęsiom. Mama gęs i jej dzieci próbowały przejść przez jezdnię koło uniwersytetu, a ludzie nie chcieli się nawet zatrzymać!

– Więc wyskoczyłaś z auta, by im pomóc – stwierdziła.

– Oczywiście, że tak. Nikt inny by tego nie zrobił. – Odwróciłam się w stronę Jonathana. – Dobrze, już możesz iść.

Przez kilka chwil nikt nic nie mówił. Jonathan ruszył do drzwi, ale jeszcze odwrócił się przed wyjściem.

– Nie zapomnij jutro wziąć kurtki. Ma być jeszcze zimniej niż dzisiaj.

– Nie zapomnę. – Nie było to jednak takie pewne. Organizacja nie była moją mocną stroną. Niedługo po tym, jak Janice przygarnęła mnie pod swoje skrzydła po tych katastrofalnych pierwszych dniach w college’u, próbowała pomóc mi się zorganizować, ale szybko doszła do wniosku, że to próżny trud. Moja część mieszkania wyglądała tak, jak mój pokój w domu rodziców: czyste ubrania na jednej stercie, a brudne na drugiej, porozrzucane wszędzie notatki. Niektórzy uznaliby to za bałagan, ale dla mnie był to kontrolowany chaos i Janice nauczyła się nie ruszać go po tym, jak kiedyś poukładała wszystkie moje ubrania. Tak mnie tym wytrąciła z równowagi, że nigdy więcej nie próbowała.

Rzadko myślałam o czymś takim jak dopasowywanie ubrań czy odpowiedni wygląd, ale Janice potrafiła przekonać mnie, że dobieranie kolorów jest czymś fajnym, a także delikatnie przypominała mi o uczesaniu włosów, kiedy zaczynałam wyglądać jak szalony naukowiec. Nadal zdarzało mi się ukrywać pod kołdrą z latarką i książką. Wówczas Janice pytała, czy jestem przygnębiona albo czy coś mnie martwi. W końcu udało mi się ją zapewnić, że ja po prostu czasami potrzebuję zostać sama. Były *rzeczy*, w których się gubiłam, głównie reakcje w sytuacjach społecznych, i gdy poczułam się komfortowo w towarzystwie Janice, zaczęłam ją o nie wypytywać.

Mieszkanie z nią przypominało przyspieszony kurs bycia normalnym człowiekiem.

Gdy Jonathan wyszedł, zamknęłam za nim drzwi, po czym usiadłam na kanapie obok Janice.

– Co o nim myślisz?

– Cóż, na początek, jest bardzo uprzejmy.

- Jest przerośniętym nerdem – stwierdził Joe.
- Nieprawda – powiedziałam.
- Annika nie pytała się ciebie o zdanie, Joe.
- Założę się, że uwielbia grać w szachy – rzucił.
- Ja uwielbiam grać w szachy.

Joe prychnął, rzucając spojrzenie Janice. Ona spojrzała na niego. To był całkiem nowy dodatek do katalogu jej mimiki, ale wiedziałam, że oznacza: „Zamknij się, Joe”.

- Dlaczego ty wciąż się z nim spotykasz? – zapytałam.
- Janice uciszyła mnie i zaciągnęła do kuchni.
- Nie wiem. Jest bardzo, bardzo ładny.
 - I bardzo głupi.
 - Nie przejmuj się, nie zamierzam go poślubić.

Czy Jonathan *był* nerdem? To, że miał krótkie włosy i nie uprawiał tego samego sportu co inni, nie oznaczało od razu, że był nerdem. Wydawał się bardzo pojętny, a właśnie inteligencja zawsze sprawiała, że niektórzy faceci wydawali mi się bardziej interesujący niż inni. Poza tym on *był* przystojny i – czasami jak graliśmy w szachy – przyglądałam mu się zafascynowana jego idealnymi rysami twarzy. Miał najbielsze zęby, jakie kiedykolwiek widziałam. Zastanawiałam się, czy jego pocałunek smakowałby jak guma Orbit White Freshmint. Pocałunki Joego prawdopodobnie miały smak gandzi i krążków cebulowych.

I porażki.

- Lubisz Jonathana? – spytała Janice. – Tak lubisz *lubisz*?
- Nie.
- To nic złego.
- Nie.
- Tylko się tym razem nie angażuj, dopóki nie będziemy miały pewności.

Odwróciłam się do niej rozdrażniona.

– Ale skąd będziemy miały pewność?

– Czasem nie wiadomo. Jeśli jednak facet przypomina ci o założeniu kurtki, bo nie chce, żebyś zmarzła, to całkiem dobry przykład na to, że nie będzie próbował cię skrzywdzić. Wciąż nie ma co do tego pewności, więc trzeba uważać, ale to dobry początek.

– Nie chcę znów się pomylić – powiedziałam, bo już raz, w połowie drugiego roku, zdarzył mi się taki błąd. Polubił mnie facet o imieniu Jake, którego poznałam na jednym z wykładów, a stwierdzenie, że żwawo odwzajemniłam jego uczucie, byłoby żenującym niedomówieniem. To, co zaczęło się od głupkowatych bazgrołów w zeszytach, przerodziło się we wspólne chodzenie na zajęcia – ja z największym uśmiechem, jaki kiedykolwiek gościł na mojej twarzy, on z ręką swobodnie zarzuconą przez moje ramię lub spoczywającą na moim tyłku. Cudownie było mieć chłopaka i wcale nie tak trudno! Przez ponad tydzień nie odstępowałam Jake’a na krok. Na stołówce zajmowałam należne mi miejsce przy stoliku u jego boku, jak zrobiłaby to każda partnerka. Robiłam jego pranie i pomagałam mu w pracy domowej, ponieważ właśnie tak zachowują się zakochani. On miał zawsze dużo do roboty, więc byłam wdzięczna za to, że w ogóle znajduje dla mnie czas. Ilekroć odwiedzaliśmy jego znajomych, a wydawało mi się, że ciągle to robiliśmy, ponieważ był on najwyraźniej bardzo popularny na kampusie, wskazywał im na mnie i mówił:

– Znacie już Annikę? Niezła jest.

Wtedy wszyscy zaczynali się śmiać, a mój uśmiech stawał się jeszcze szerszy, ponieważ czułam, że jestem na właściwym miejscu.

Krótko po tym, jak wszystko zaczęło się sypać, moja współlokatorka znów była przy mnie, by pomóc mi się pozbierać i złożyć mnie z powrotem do kupy.

Janice położyła mi dłoń na ramieniu.

– Nie sądzę, żebyś tym razem się myliła. Myślę, że Jonathan naprawdę cię lubi. Wygląda na porządnego faceta. Zgódź się na to. Nie pozwól, aby jedno złe doświadczenie na zawsze odebrało ci szczęście, gdy w końcu spotykasz fajnego faceta. Jeśli nie jesteś gotowa, żeby mi to powiedzieć, przynajmniej przyznaj się przed samą sobą.

– Naprawdę myślisz, że on mnie lubi?

– Wygląda na to, że tak. Flirtuje z tobą?

Jonathan nie zachowywał się tak jak Jake. Nie rysował po moim zeszycie i nie obejmował mnie ramieniem.

– Nie jestem pewna. Często się do mnie uśmiecha.

– To dobry znak.

– Muszę zacząć zwracać na to uwagę.

Później tej nocy, kiedy leżałam w łóżku, wróciłam myślami do Jonathana. Starłam się nie zastanawiać nad wszystkim, co mogłoby pójść nie tak. Zamiast tego pomyślałam o tym, jak prawie zawsze w klubie szachowym chciał grać ze mną. Cieszyłam się, że co tydzień odprowadzał mnie do domu. Cieszyłam się, że troszczył się o to, czy jest mi zimno.

Lubiłam to wszystko.

I to bardzo.

13

Annika

UNIWERSYTET ILLINOIS URBANA-CHAMPAIGN 1991

Słońce ledwie wznosiło się nad horyzontem, gdy wraz z Jonathanem opuszczaliśmy kampus, w drodze do St. Louis. Czułam, jak pusty żołądek podchodzi mi do gardła. Denerwowałam się do tego stopnia, że nie byłam w stanie nawet myśleć o śniadaniu. Martwiłam się tym, że mogę zwymiotować na siedzenie pasażera.

– Wybacz, że nie ma żadnej muzyki – powiedział Jonathan. – To radio nigdy nie działało.

– Lubię ciszę – stwierdziłam. Bycie uwięzionym w aucie z głośną muzyką mogłoby mnie zniszczyć. Nie znosiłam nadmiernej stymulacji; potrzebowałabym kilku godzin w ciszy, by zrównoważyć hałas. Pick-up Jonathana wyglądał na stary i klekotał cicho, gdy jechaliśmy autostradą, ale dla mnie był idealny.

Jonathan przekonał mnie nie tylko, abym dołączyła do zespołu, ale również zachęcił do wzięcia udziału w rozgrywce treningowej. Eric był zachwycony. Podobnie jak Janice. Tylko ja miałam wciąż zastrzeżenia. Na ostatnim spotkaniu zespołu szachowego – i drugim, w którym brałam udział – podsłuchiłam, jak niektórzy pytają Erica

o to, czy zostanę wykluczona z gry turniejowej. To kolejna rzecz, którą odkryłam po latach. Jeśli jesteś cicho i się nie odzywasz, z jakiegoś powodu ludzie uznają, że coś jest nie tak z twoim słuchem. Z moim jednak wszystko było w porządku.

Eric mnie bronił.

– Od trzech lat gram z Anniką i założę się o każdą sumę, że pokonałaby was, każdego z osobna. Ona będzie naszym atutem.

Po takim poparciu ostatnią rzeczą, jakiej chciałam, było zawiedzenie kolegi.

Tego dnia rywalizowało nas dwunastu i gdybym musiała jechać z resztą, ściśnięta jak sardynka, po pięć osób w samochodzie, bombardowana dźwiękami oraz zapachami, nie zgodziłabym się na to.

– Anniko, możemy pojechać sami, jeśli chcesz – zaproponował Jonathan. – I nie musimy zostawać na noc. Możemy wracać zaraz po rozgrywce. – Raz jeszcze usuwał przede mną kolejne przeszkody w taki sposób, jakby doskonale wiedział, czego potrzebuję, by poczuć się komfortowo.

– Bo wie – oznajmiła Janice, gdy powiedziałam jej o tej ofercie. – I robi to, bo cię lubi i ponieważ jest naprawdę miłym facetem.

– Denerwuję się. – Przyznałam się przed Jonathanem, chowając dłonie w rękawy, by ukryć drżenie palców.

– Świetnie ci pójdzie – zapewnił. – Wystarczy, że tylko na ciebie spojrzę, a zapomnę, jak się gra.

– Nie sędzę – powiedziałam. – Ci gracze są naprawdę dobrzy. Nie wierzę, że nagle zapomnę, jak się gra.

– Miałem na myśli, że jesteś taka śliczna. Patrząc na ciebie, nie będą w stanie się skoncentrować.

– Raczej tak nie będzie.

Zaśmiał się.

– Więc tylko ja nie będę, co?

Mój mózg dopiero po kilku minutach zrozumiał, co się dzieje.

– Och! – krzyknęłam na tyle głośno, że Jonathan podskoczył na siedzeniu. – Ty ze mną flirtowałeś?

– Próbowałem. Myślałem, że jestem raczej przyzwoity, ale teraz nie mogę już być tego taki pewien.

– Jonathan?

Spojrzał na mnie, na sekundę odrywając wzrok od autostrady.

– Ja naprawdę myślałam, że flirtujesz. Chciałam się tylko upewnić.

Wówczas posłał mi jeden z tych uśmiechów, o których już wcześniej opowiadałam Janice.

Zawody odbywały się w dużej sali konferencyjnej lokalnego hotelu. Mimo że byliśmy drużyną, mieliśmy rywalizować indywidualnie. Tego dnia było wyjątkowo ciepło jak na koniec października, co zdarzało się dość często na kapryśnym Środkowym Zachodzie, a ja miałam na sobie długą, workowatą spódnicę oraz jeszcze luźniejszą bluzkę. Wiedziałam, że nie będę się czuć dobrze w ubraniach, które nie są lekkie czy wygodne. Mimo to nadal czułam się przegrzana i już zaczynałam się trochę pocić.

– Wszystko w porządku? – spytał Jonathan. Nie powiedziałam ani słowa, odkąd weszliśmy do hotelu i wciąż trzymałam się kurczowo jego boku, chociaż bardzo musiałam iść do łazienki. Mój pęcherz bardzo źle znosił stres.

– Kiedy zaczynamy? – Nie znosiłam niewiadomej, powinienam była zapytać Erica, czego mogę spodziewać się na zawodach przed zapisaniem się. Gdyby tylko udało mi się ominąć tę część, w której ucina się krótką pogawędkę z przeciwnikiem i zacząć grać, mogłabym zatracić się w rozgrywce, zapominając o wszystkim innym. Zniknęłyby mdłości i przestałabym czuć się tak, jakbym miała zaraz wymiotować.

– Pierwsza runda zaczyna się o dziesiątej. Eric ma arkusz z naszymi grupami, wie też z kim będziemy grać. Nie martw się, wszystko ci wyjaśnię.

Jego słowa uspokoiły mnie. Skinęłam głową.

– Dobrze.

Przez następne pół godziny rozkręcaliśmy się, a Eric opowiadał nam wszystko, co wiedział o pozostałych drużynach. Mi prawdopodobnie przypadną trzy gry, w zależności od tego, czy wygram i przejdę do następnej rundy. Moją pierwszą przeciwniczką miała być dziewczyna z Missouri. Analizowałam jej statystyki, rozważając, jak powinienam zacząć.

Chwilę przed dziesiątą weszliśmy do sali konferencyjnej i zajęliśmy miejsca przy planszach, obok których rozstawiono już plakietki z naszymi imionami.

– Cześć – przywitała się moja przeciwniczka, ciemnowłosa dziewczyna o imieniu Daisy. Gdy wyciągnęła dłoń, uścisnęłam ją krótko i z powrotem skupiłam uwagę na planszy. Mój stres związany z pierwszą w życiu konkurencją wpłynął na mój pierwszy ruch i popełniłam błąd, wykonując dwa nieostrożne zagrania z rzędu. Jej pewność siebie wystarczyła, żebym uświadomiła sobie, że będzie groźnym przeciwnikiem. Właśnie takiej motywacji potrzebowałam, aby przegnać mdłości i włączyć tryb walki. Toczyłyśmy bi-

twę do samego końca, aż ostatecznie, za pomocą posunięcia, którego nie dostrzegła, zablokowałam jej króla.

– Szach-mat.

– To była dobra gra – powiedziała.

W porównaniu z pierwszą, następna gra wydawała się łatwiejsza, chociaż spodziewałam się, że będzie wręcz przeciwnie. Może to kwestia szczęścia, ale z łatwością pokonałam kolejnego przeciwnika – wysokiego chłopaka z uniwersytetu w Iowa – choć zajęło mi to prawie dwie godziny.

– Wow. Okej. – Tylko tyle powiedział, zanim odszedł.

Kiedy usiadłam naprzeciwko mojego trzeciego i ostatniego przeciwnika, minęły cztery godziny, odkąd zaczęłam grać. To, w połączeniu ze wczesną pobudką oraz energią mentalną potrzebną do utrzymania poziomu gry, zaczęło dawać mi się we znaki. Gdy usiedliśmy, mój przeciwnik skupił się na planszy. Nie patrzyliśmy na siebie ani nic nie mówiliśmy. Nasz pojedynek trwał długo i w miarę jak pozostali kończyli swoje tury, wokół nas zaczął gromadzić się tłum. To była naprawdę najtrudniejsza rozgrywka, w jakiej kiedykolwiek brałam udział. Pokonałam go tylko dlatego, że spartaczył swój ostatni ruch, więc mogłam to wykorzystać. Gdy w końcu udało mi się zablokować jego króla, czułam się wyczerpana, prawie bezwładna.

– Szach-mat.

Jonathan podszedł i położył dłonie na moich ramionach, ściskając delikatnie, gdy odetchnęłam z ulgą.

Nasi koledzy z drużyny gromadzili się wokół nas, świętując swoje zwycięstwa oraz skarżąc się na porażki. Ociągaliliśmy się przez chwilę, aż Eric zaproponował, żebyśmy poszli na kolację do pobliskiej restauracji. Cała drużyna zgodziła się z entuzjazmem.

– Co ty na to, Anniko? – spytał Jonathan. – Jesteś głodna?

– Tak – odpowiedziałam. Dochodziła osiemnasta i moi przeciwnicy prawdopodobnie słyszeli burczenie mojego brzucha w czasie gry. – Muszę jeszcze tylko iść do toalety, potem będę gotowa.

Gdy myłam ręce, spojrzałam w lustro. Miałam zaróżowione policzki i jeszcze nigdy nie widziałam, by moje oczy tak lśniły. Może właśnie tak wygląda szczęście, pomyślałam, wychodząc z toalety, ale zanim jeszcze ruszyłam w kierunku czekającego na mnie Jonathana, szybko zsunęłam swoje buty i spakowałam do torby. Janice przekonała mnie, żebym zamiast swoich tenisówek, założyła jej baleriny. Były niewygodne, a pod długą spódnicą nikt nie zobaczy moich bosych stóp.

Czekał na mnie przy drzwiach. Otworzył je przede mną i puścił przodem. Późnojesienna trawa była w dużej mierze zwiędnięta. Pod bosymi stopami jej delikatna, krucha struktura wydawała mi się niesamowita w dotyku, gdy szliśmy przez hotelową murawę w stronę auta Jonathana, aby dogonić resztę, która już zaczynała opuszczać parking. Miałam ochotę usiąść na trawie i zanurzyć w niej palce. Nigdy nie byłabym w stanie wyjaśnić, ile satysfakcji dałoby mi to, ani jak bardzo pomogłoby w rozładowaniu stresu po całym dniu zawodów w zatłoczonym pomieszczeniu.

Jonathan włączył silnik, a potem wyjechał z parkingu.

– Jak to możliwe, że od ponad trzech lat należysz do klubu szachowego, a tylko ja i Eric wiemy, jaka jesteś dobra? – spytał. Tylko siedmioro z nas wygrało dzisiaj wszystkie rozgrywki. Jonathan i ja należeliśmy do tej grupy.

– Zwykle wracałam do domu, gdy Eric nie mógł ze mną grać.

– Dlaczego?

Jak miałam mu wyjaśnić, że dla pozostałych byłam niewidzialna? Wielu członków już dawno uznało mnie za nieśmiałą dziwaczkę i mieli rację. Dla większości z nich klub był miejscem spotkań towarzyskich, a szachy jedynie sposobem na umilenie czasu. Dla mnie stał się czymś o wiele ważniejszym. Koncentrując się na grze, zapomniałam o chaosie oraz niepokoju, które kotłowały się nieustannie po mojej głowie.

– Nie wiem. Po prostu.

Kiedy zaparkował przed restauracją, weszliśmy, by dołączyć do pozostałych. Gdy czekaliśmy w kolejce, wsunęłam ręce do kieszeni spódnicy i poruszałam materiałem tam i z powrotem. Ten ruch mnie uspokajał, podobał mi się też wytwarzany w ten sposób odgłos.

– Przepraszam, ale pani nie może tak wejść. – Usłyszałam głos. Nie byłam świadoma, że mówi do mnie, dopóki nie odezwał się Jonathan.

– Annika, gdzie są twoje buty?

Czułam się, jakbym mówiła zbyt głośno, będąc w hałaśliwym miejscu, gdy nagle hałas ustaje i wszyscy patrzą, by zobaczyć, kto tak krzyczy. Tylko że ja wcale nie krzyczałam. Stałam boso w kolejce do restauracji. Wszyscy patrzyli w dół na moje pomalowane na różowo paznokcie. Nie zrobiłam tego specjalnie, po prostu zapomniałam założyć butów przed wyjściem z auta.

Gdy odwróciłam się w stronę wyjścia, czułam, jak moja twarz płonie. Wpadłam w panikę, gdy próbowałam ciągnąć drzwi, zamiast je pchnąć. Grzechotały, gdy nimi potrząsałam, a gdy wreszcie zrozumiałam, jak się je otwiera, wypadłam na zewnątrz, po czym pobiegłam na parking. Jonathan dogonił mnie, gdy szarpałam drzwi samochodu.

– Poczekaj, są zablokowane. – Wsunął klucz i otworzył zamek. – Nie przejmuj się tym, po prostu załóż buty, wtedy będziemy mogli wrócić.

Wgramoliłam się do środka, wycierając wierzchem dłoni spływające po policzkach łzy. Jonathan stał przy drzwiach, czekając cierpliwie.

– Nie mogę tam wrócić.

– Dlaczego?

– Idź sam, ja tu poczekam.

– Anniko, nic się nie stało.

– Proszę, nie każ mi tam wracać – szlochałam.

Położył dłonie na moich nogach. Jego dotyk przyniósł mi taką ulgę, jak jeszcze nigdy nic. Czulałam się bezpieczna, jak gdyby przy nim nic złego nie mogło mnie spotkać.

– Zostań tutaj. Zablokuj drzwi, a ja zaraz wrócę.

Zamknęłam i zablokowałam drzwi, podczas gdy on wrócił do restauracji. Przez szybę widziałam, jak rozmawia z pozostałymi członkami drużyny, a potem idzie do lady. Pięć minut później wrócił do samochodu z białą papierową torbą.

Wyciągnąwszy rękę, odblokowałam drzwi.

– Powiedziałem im, że jesteś zmęczona i postanowiliśmy wracać szybciej. Nie mieli nic przeciwko. Kazali mi ci jeszcze raz pogratulować. Wziąłem też kilka kanapek i tartę. Lubisz tartę?

Już nie miałam wątpliwości co do tego, jaki jest Jonathan.

– Uwielbiam.

– Kanapki są z szynką, a tarta z jabłkami. – Podał mi zawiniętą w woreczek foliowy kanapkę oraz styropianowe pudełko z tartą, a także widelec i serwetkę.

Zrobił dokładnie to, co zrobiłaby Janice. Zaczęłam się zastanawiać, czy zawsze będę potrzebowała kogoś, kto będzie się mną opiekował.

– Dziękuję. – Nigdy nie byłam specjalnie niemila, ale często zapomniałam powiedzieć „dziękuję” i byłoby mi strasznie wstyd, gdybym przypomniała sobie o tym dopiero w domu.

Jonathan odwinął kanapkę, a potem ugryzł kawałek.

– Nie wyglądasz mi na kogoś, kto maluje na różowo paznokcie u stóp.

– To Janice. Powiedziała, że jeśli mam zamiar chodzić boso, to przynajmniej pomaluje mi paznokcie, żeby ludzie mieli na co popatrzeć.

Zjadłam kawałek tarty. Zawsze, jeśli tylko miałam okazję, wołałam najpierw jeść deser. Byłam tak głodna, że musiałam zmuszać się do przerw między kolejnymi kęsami.

– Nie lubię butów.

Zaśmiał się krótko, ale uprzejmie.

– Zdażyłem już zauważyć.

– Ograniczają mnie, nie mogę swobodnie poruszać palcami.

– Jak zatem radzisz sobie zimą?

– Męcę się w butach.

– Nie grasz w gry, prawda?

Ugryzłam kolejny kawałek tarty.

– Umiem grać tylko w szachy.

Gdy skończyliśmy jeść, w ciszy pojechaliśmy ciemną autostradą i zanim dotarliśmy do domu, powrócił do mnie spokój, jakbym nigdy nie opuszczała murów mieszkania. Jonathan zaparkował przed moim blokiem i wyłączył silnik. Otworzyłam drzwi, po czym wygramoliłam się na zewnątrz bez słowa pożegnania, myśląc już tylko o tym, by z powrotem znaleźć się w bezpiecznej, wygodnej sypialni, gdzie planowałam spędzić resztę wieczoru w samotności, próbując zapomnieć o całym tym żenującym wydarzeniu.

Ku mojemu zaskoczeniu Jonathan również wysiadł. Dogonił mnie, gdy stałam już przy drzwiach. Zatrzymałam się, gdy chwycił mnie za dłoń. Ścisnął ją delikatnie i nie puszczał. Jego dotyk przeniknął mnie, sprawiając, że czułam się tak, jakby nic złego nie mogło się wydarzyć tak długo, jak długo Jonathan trzymał moją rękę.

– Chciałabyś spotkać się ze mną w piątek wieczorem?

– Wyjść gdzieś z tobą? – spytałam.

– Na randkę. Możemy iść, gdziekolwiek zechcesz.

Nie mogłam uwierzyć, że on wciąż chciał się ze mną pokazywać, nie mówiąc już o tym, że robił to chętnie. Jake nigdy nie zaprosił mnie na wspólne wyjście, a jedzenie, którym Jonathan właśnie się ze mną podzielił, było najbliższe temu, co można nazwać spożywaniem posiłku z osobą płci przeciwnej.

Najbliższe temu, co można by nazwać randką.

– Dlaczego miałbyś to robić? – *Dlaczego ktokolwiek miałby?* Wyraźnie słyszałam w swoim głosie upokorzenie. Natychmiast pożałowałam, że zadałam to pytanie. Po co dokładać sobie więcej upokorzenia po tym, co już na siebie sprowadziłam?

– Ponieważ uważam, że jesteś śliczna i bardzo cię lubię. – Gdy nic nie odpowiedziałam, puścił moją dłoń, a następnie wsunął własną do kieszeni. – Mam wrażenie, że przy tobie mogę być sobą.

Przez całe życie czekałam na kogoś, przy kim mogłabym być sobą. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że mogłam być kimś takim dla innej osoby. Jego słowa ścisnęły mi gardło. Czułam, że zaraz się rozplączę.

– Chętnie się z tobą spotkam.

Uśmiechnął się i nasze spojrzenia przelotnie się spotkały, zanim odwróciłam wzrok.

– Świetnie. W takim razie do zobaczenia jutro w klubie szachowym.

Kiwnęłam głową, wpatrując się w swoje stopy. Gdy weszłam do mieszkania, to mimo że czułam się wyczerpana i nie pragnęłam niczego bardziej, niż zapaść w głęboki sen, nie mogłam przestać myśleć o tym, kiedy Jonathan znów będzie mógł potrzymać mnie za rękę.